

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 29 sierpnia 1948 r.

Nr 35 (144)

**TREŚĆ NUMERU:** Rozmowa ze św. Tomaszem; W. Bąk — Feliks; A. Zatoński — Nie fałszować romantyzmu; D. Horodyński — Czas zająć się czymś innym; W. Lipniacki — 100 m; Nabyć, czytać, nie czytać?...; Z. Lichniak — Listy zwątpienia i odzyskanej wiary; M. Markowski — Myśli o operze; Tydzień kulturalny; J. Dobraczyński — Rychliński; W. Pietrzak — Lot Jaskółek; Argentyna;

Wanda Kieszowska

# NIEMCY WOBEC PISARZA POLSKIEGO

Odnawiana ostatnio sława literacka Kraszewskiego należała niedawno jeszcze do bezpowrotnie minionej przeszłości. I dziś mało kto z obecnego pokolenia zdaje sobie sprawę z wpływu, jakie na społeczeństwo polskie ten olbrzym pracy przed stu laty niespełna wywierał, ani z ogromu jego spuścizny literackiej, której sama klasyfikacja i opracowanie stanowi trud niemały dla badaczy literatury polskiej tego okresu, ani też z rzeczywistych, a trwałych zasług, na polu literatury i kultury polskiej położył — zasług między którymi nie najpośledniejszą rolę gra fakt, że przez swą wyteżoną, półwickową przeszłość, najwydatniej się przyczynił do zastąpienia bezwartościowych romansów francuskich, będących w modzie jeszcze w połowie XIX w. — zdrową, dobrą — (dziś już na gust współczesnego czytelnika nieco nudną, co prawda) — polską książką powieściową.

Wiedząc zaś tak mało o jego życiu, nikt też z szerszej publiczności zapewne nie pamięta i o tym, że Kraszewski był właściwie jedną z niezliczonych ofiar nieprzejednanej, nieustępliwej walki żywiołu niemieckiego z narodem polskim, — walki, której niszczycielskich skutków doznawali sami na sobie przez pięć i pół lat wojennych, a która rozpoczęła przed wiekami, toczyła się z różnym nasileniem i zmiennym szczęściem przez długi ciąg wieków aż po dzień dzisiejszy i która wciąż jeszcze daleka jest od końca.

Prawdziwa osnowa procesu wytoczonego przez rząd pruski o zdradę stanu sędziemu, bo siedemdziesiąt lat przeszło liczącemu pisarzowi polskiemu, honorowemu prezesowi międzynarodowego stowarzyszenia literatów i artystów, ozdobionemu przez króla włoskiego gwiazdą grand uffiziale, od cesarza zaś austriackiego krzyżem komandorskim. — po dzień dzisiejszy nie została jeszcze dostatecznie wyjaśniona. Wedle bardzo ogólnikowych i niewiele mówiących zeznań samego Kraszewskiego oraz stwierdzonych przez sąd faktów, sprawa przedstawia się w ogólnych zarysach w następujący sposób: Oto na prośbę jednego z dawnych znajomych, — Polaka — emigranta, wygnanca, — podał się Kraszewski, zamieszkujący od powstania 63 r. w Dreźnie, przesyłania korespondencji wojskowych niemieckich dla pism francuskich. Pobudki skłaniające go do przyjęcia tej nieco ryzykownej bądź co bądź propozycji, nie zostały dostatecznie roświetlone. Sam Kraszewski tłumaczy się po prostu chęcią przyjęcia z pomocą rodziny, znajdującemu się w ciężkim położeniu. W równej mierze zresztą mogła wpłynąć na tę decyzję wrodzona łatwowierność, jak i zainteresowanie dziennikarskie, dziedzina, z którą do tychczas nie zdarzyło mu się mieć nic do czynienia. A wiadomo jak szeroką skalę zainteresowań obejmował ruchliwy umysł Kraszewskiego.

Tak czy inaczej propozycję przyjął, a nie znając się sam na tych sprawach, dobrał sobie z kolei odpowiednich korespondentów w Berlinie, — literata Adlera, który zresztą był równie tylko pośrednikiem oraz Henscha, byłego kapitana wojsk pruskich, od którego właśnie pochodziły owe korespondencje. Po pewnym czasie Adler zaczął szantażować Kraszewskiego, wyłudzać u niego znaczne sumy pieniężne, w razie niezapłacenia zaś grożąc denuncjacją. Kiedy wreszcie zniciertpliwiony powtarzającymi się wciąż żądaniem Adlera, Kraszewski odmówił dalszych wypląt, Adler groźbę swoją spełnił, oskarżając Kraszewskiego i Henscha o działalność na szkodę państwa pruskiego i załączając na dowód listy Kraszewskiego pisane w sprawie owych korespondencji własnie.

Po ostrej, trzygodzinnej rewizji, nastąpiło po upływie pewnego czasu aresztowanie Kraszewskiego i osadzenie go w ciężkim więzieniu w Moabicy.

Tak wygląda najogólniejsze tło, bardzo niewiele światła rzucające i na samą istotę sprawy i rzeczywiste motywy oskarżenia i sądu. Jako i udział samego pisarza w całej tej dość mętnej sprawie. To pewne, że nikt, kto tylko znał Kraszewskiego i jego poglądy, z którymi się nie tał, nie mógł go w dobrej wierze posądzać o akcję szpiegowską, ani o zdradę stanu. Będąc gorącym patriotą, Polakiem, całkowicie oddanym sprawie narodowej, nie był nigdy przecie, wyjąwszy najdawniejsze lata wczesnej młodości, zwolennikiem pracy tajnej konspiracyjnej spiskowej. Wprost przeciwnie nawet nawoływał zawsze

do pracy jawnej, do obrony ducha narodowego i języka w granicach legalnych. Odrzucał metody gwałtu, zdrady i przemocy, jak większość wyznawców Chrystusowych. Do wielkiego celu narodowego kazał dążyć narodzi wielkimi i czystymi środkami, potępiając bezapelacyjnie wszelkie drogi z przykazaniem Bożym sprzeczne, ucząc, że lepsza śmierć, niż plama niegodnego postępowania na szluzie narodowym. Trudną zatem i niepodobną do wiary wydawało się rzecz, by starzec u schyłku życia, — nad grobem niemal stojący, złamany chorobą i przewlekłymi cierpieniami, zmienił nagle z gruntu przekonania całego życia, przekreślił od jednego zamachu zasady potwierdzone tylu pracami i wszedł świadomie na drogę, przed którą przez lat kilkadziesiąt nie przestawał naród swój przestrzegać. Bo tego,

właśnie, — zdrady stanu, planowej działalności na szkodę państwowości niemieckiej, a nawet związku z tajnymi organizacjami polskimi na usługach rządu francuskiego usiłował mu dowieść słynny proces lipski, odbywający się pod presją i osobistym naciskiem samego Bismarka, „żelaznego kanclerza”, który wedle słów Chmielowskiego „na osobie uwielbianego przez naród polski pisarza, pragnął przedstawić Europie Polaków, jako nieprzyjaciół porządku, jako wicherzycieli, których tępienie jest zasługą”. A trzeba pamiętać przy tym, że ta Europa wyniszczona wojnami, zrużdzona nieustannymi spiskami, rewolucjami, powstaniem, za wszelką cenę dążyła do utrzymania istniejącego porządku i utrwalonego jako tako porządku.

W pokoleniu współczesnym, które przeżyło pięć i pół lat okupacji niemieckiej, podczas której Niemcy, śnąc pewni swego zwycięstwa nad światem, bez maski już ukazywali swe prawdziwe oblicze, z nieukrywaną nienawidzą przystępując do tępienia wszystkiego, co polskie, z całym fanatyzmem i brutalną bezwzględnością podejmując walkę, mającą na celu wytrzebienie całego narodu polskiego, sam fakt osadzenia Kraszewskiego w więzieniu, nie wywołuje może odpowiedniego wrażenia. Na dziesiątki, setki, ba, tysiące takich i znacznie gorszych jeszcze przykładów przywykli przecież spoglądać własnymi oczami. Ale na owe czasy, a miało to miejsce w roku 1883, był to fakt niezwykle, który wstrząsnął opinią całej Europy. Kraszewski był bądź co bądź osobistością zbyt znaną i jako pisarz i jako człowiek, by zdarzenie to mogło minąć bez echa i bez komentarzy. A choć Prusy wtedy jeszcze liczyły się z opinią Europy i bynajmniej nie leżało w ich zamiarach przedwczesne ujawnienie prawdziwych intencji w stosunku do narodu polskiego, to jednak zastosowane zostały wszystkie możliwe rygory, bez żadnych ustępstw, bez żadnych względów na wiek i stan zdrowia sędziwego pisarza.

Prawda także wyznała niestety, że opinia społeczeństwa polskiego nie wytrzymała próby i nie wykazała dla całej tej doskonale ukartowanej sprawy ani wyczucia, ani zrozumienia, jakiego można było i należało się od niej spodziewać. Kapryśna, a w danym wypadku i karygodnie krótkowzroczna, odwróciła się od uwielbianego tak niedawno mistrza, którego pięćdziesięciolecie pracy pisarskiej z niebywałym zapałem i entuzjazmem przed czterema laty zaledwie święciła. Bo i czegoż mu tam teraz nie zarzucano! Ze lekkomyślnym, a niewczesnym wplątaniem się w tak niepożądaną sprawę rzucił cień na sprawę narodową, że skompromitował w swej osobie imię Polaka w oczach Europy, ba, podawano nawet w wątpliwość jego wartość moralną, i czystość intencji. Krytykowano też jednogło-

## WYTYCZNE

### KONGRES WROCLAWSKI

25 sierpnia intelektualści 53 narodów rozpoczynają swoje obrady we Wrocławiu. Kongres wrocławski jest jednym z najdonioślejszych wydarzeń od zakończenia drugiej wojny światowej.

Znaczenie jego jest wielorakie.

Przede wszystkim Kongres Wrocławski, powinien przyczynić się do obudzenia wśród intelektualistów wszystkich krajów na świecie świadomości szczególnej wagi ich roli i ich odpowiedzialności za los ludzkości. Niestety świadomość ta dotychczas jest zbyt mała. Intelektualista i artysta wielokrotnie czuje się zwolniony od jakiegokolwiek konkretnej odpowiedzialności społecznej i politycznej. Często przyjmuje pozę beznamietnego i sceptycznego obserwatora czy komentatora zdarzeń. Co więcej samą propozycję współodpowiedzialności traktuje niczym jako uwłaszczającą jego powołaniu wolnego poszukiwacza prawdy. Kongres Wrocławski powinien być wyzwaniem dla tego typu intelektualistów. Napisał to w przejmującym wierszu „Traktat Moralny” Czesław Miłosz: „Możesz, więc wpłynąć na bieg lawiny”. — Wrocław powinien być momentem ostatecznego przebudzenia intelektualistów. Głos ich musi wpłynąć na lawinę zdarzeń.

Z drugiej strony znaczenie Kongresu powinno być decydujące dla przywrócenia poczucia siły i jedności kultury europejskiej. Kongres odbywa się w Europie, przedstawiciele naszego kontynentu reprezentują największą liczbę i najcięższą wagę gatunkową. Jeszcze raz okazuje się, że mimo sztucznej „żelaznej kurtyny”, mimo roku „proroków” wieszczących z cichą radością zagładę naszej cywilizacji, Europa jest jednością kulturalną i nie ma zamiaru rezygnować z przewodźstwa duchowego. Głoszenie wojny i zagłady nie jest żadnym godnym zajęciem dla prawdziwego Europejczyka.

„Cokolwiek zmierza do obalenia granic, nie tylko służy sprawie pokoju, lecz również wydaje się być właściwym środkiem jego osiągnięcia. Naszym obowiązkiem powinno być nie tylko głoszenie szlachetnych haseł, lecz prowadzenie prawdziwej ofensywy przeciwko tym wszystkim, którzy pragną wojny i konsekwentnie ją przygotowują”. — Napisał pod adresem intelektualistów zebranych we Wrocławiu Julian Benda.

Jest faktem nie małej wagi, że inicjatywa Kongresu wyszła od Polaków i że odbywa się on w Polsce. Kraj pod każdym względem najstrasliwiej doświadczony przez wojnę w trzy lata po jej zakończeniu może śmiało wszystkim pokazać osiągnięcia lat odbudowy i ma największe prawo moralne protestować przeciwko groźbie nowego kataklizmu. Na pewno nie jeden ze sławnych uczestników Kongresu będzie zdumiony powagą nauki i kultury polskiej. Przyszłość naszego kraju nie leży na drodze wyścigu zbrojeń, ale w szlachetnym współzawodnictwie twórczości naukowej i kulturalnej. Bo do jedności świata można dojść tylko drogą pogłębiania i szanowania kultur narodowych.

Wreszcie duże znaczenie posiada dla nas fakt, że Kongres odbywa się we Wrocławiu. Przedstawiciele 53 narodów poznają jedno z piękniejszych miast polskich i przekonują się osobiście, że Wrocław leży na polskiej ziemi.

Intelektualistom zebranim we Wrocławiu życzymy owocnych obrad i zgodnych rezolucji. Niech głos ich będzie donośny i słyszany wszędzie.



nie jego postawę na procesie lipskim, ubolewano, że nie ukazał Europie „piersi na miarę Fidiasza skrojonej” itd. Nie brak nawet było niesprawdzonych i zresztą nieprawdziwych zarzutów, że się poniżył do... próśby o ulaskawienie, zanieśionej do cesarza niemieckiego itd.

Dziś znając już dokładnie w własnego doświadczenia szlachetne metody walki niemieckiej i znaczenie wprężonej do tej walki stuleczonej propagandy, której znaczenie i przewrotność już Kraszewski doskonale doceniał (w powieści p.t.: „Na Wschodzie”, czytamy np. następujące słowa: — „A Niemcy, to na darmo pióro w rękę trzymają, albowiż to my nie mamy swoich dziennikarzy i dzienników? Kto umie pisać, ten zrobi z najlepszej sprawy najgorszą i z najgorszej najwyborniejszą...”), wiemy już nieomylnie, czym to wpływom mamy do zawdźwięczenia zbalamucenie podniecone niespodziewanymi wydarzeniami opinii, zniekształcenie sądu i wypaczenie surowej wymowy prawdy przez rozsiewanie kłamliwych, a krzywdzących i niesprawiedliwych podejrzeń i zarzutów.

Tak czy inaczej Kraszewski stanął przed trybunałem lipskim, samotny i przez własny naród opuszczony. I to swoje opuszczenie i samotność bardzo boleśnie odczuł.

Zanim jeszcze zapadł wyrok skazujący — proces lipski cel swój osiągnął. Bo przecież najważniejszym celem, jaki zamierzał rząd pruski przez ów osławiony proces osiągnąć, było właśnie skompromitowanie pisarza w oczach jego narodu, złamanie jego wpływu, zachwianie wiary w jego wartość, słowem umieszkodliwienie go. I cel ten przynajmniej chwilowo został osiągnięty.

Kraszewski bronił się istotnie źle przed trybunałem lipskim. Miał zresztą i fatalnego obrońcę, przy którym się opierał wbrew przestępstwu i namowom przyjacieli, proponujących mu innych, oddanych jego sprawie, a bezinteresownych obrońców. Kraszewski pozostał jednak przy swoim, zastępując się jakimś bliżej nieokreślonym przymusem, do którego powraca parokrotnie z naciskiem. Musiał sobie zresztą zdawać dokładnie sprawę z tego, że cały proces jest poliskiem w jego osobę wymierzonym, fakty zewnętrzne zaś stanowią tylko wygodny pozor, skoro w jednym z późniejszych listów, czytamy, że „żaden na świecie obrońca nie by tu nie pomógł, to darmo...”.

Jak to było do przewidzenia obrońca Kraszewskiego, adwokat Sauł, nie stanął na wysokości zadania, co nie byłoby rzeczą łatwą zresztą wobec wyraźnie zaakcentowanych intencji Bismarcka, który nie wahał się przesłać na posiedzenie sądzącego trybunału listu, zawierającego liczne, a kłamliwe insynuacje, przez prasę francuską i polską wykazane i publicznie stwierdzone.

Ale i obrona samego Kraszewskiego wypadła bardzo słabo i błado. Było to w znacznej mierze wynikiem systemu, podyktowanego mu przez obrońcę, do którego się stosując Kraszewski odpowiadał wymijająco i ogólnikowo na zadawane sobie pytania, zapierając się wszystkiego, co nie zostało mu formalnie udowodnione. Tak też wyparł się między innymi autorstwa powieści p.t.: „Na Wschodzie”, wydanej pod pseudonimem Bolesławowy, a w której demaskował destrukcyjną rolę kolonistów niemieckich w Rosji, co zostało mu wzięte za złe w społeczeństwie polskim i polonizacji za brak odwagi i odpowiedzialności. Ale przecie ani na jedną chwilę „nie zaparł się ani swojego narodu, ani polskości, ani służby dla jej dobra i pomyślniejszego jutra, zapytany w czasie rozprawy przez przewodniczącego trybunału odpowiedział z całą powagą, że należy do „stronnicstwa miłujących”, że kocha swoją narodowość i dlatego „pracuje nad utrzymaniem tego, co stanowi jej istotę”. O ulaskawienie do cesarza też się nie zwracał.

\*) Ks. biskup Michał Klepacz: „Święty Tomasz na tle dziejów myśli ludzkiej”. Odbitka artykułu z miesięcznika „Znak”, nr 3 (10).

dzy magdeburkiej na więzienie w Koenigsteinie lub Kładsku, z powodu zdrowszego klimatu, czego mu zresztą odmówiono, a co prawdopodobnie dało pozor do kłamliwej i krzywdzącej go wersji o zgłoszonej przez niego rzekomo próbie o ulaskawienie.

Mimo niepomysłnych warunków procesu, nacisku Bismarcka, słabości obrony i małowiającej postawy samego Kraszewskiego, wina zdrady nie została mu dowiedziona, co nie przeszkodziło bynajmniej trybunałowi wydać wyrok skazujący go za „usiłowanie popełnienia zdrady stanu”, na trzy i pół lat twierdzy magdeburkiej.

W więzieniu spędził Kraszewski półtora roku od 26 maja 1844 do 7 listopada 1885 r., kiedy to rząd pruski na skutek licznych, a wpływowych interwencji, (między innymi i króla włoskiego Humberta) oraz katastrofalnego już niemal stanu zdrowia, sędziwego pisarza, zdecydował się wreszcie na udzielenie mu półrocznego urlopu zdrowotnego po złożeniu kaucji w wysokości 20.000 marek.

I znowu pobyt Kraszewskiego w więzieniu dla naszego pokolenia, przyzwyczajonego do tortur i meczarni obozów karnych III Rzeszy, może się wydawać nienajgorszym wcale... zupełnie możliwym do zniesienia. W owych czasach przecie, gdy Europie, pogrążonej w wygodnym egoizmie społecznym, nie śniło się jeszcze o drogach, jakimi nieokreślona pycha narodu niemieckiego zdążyć będzie do zdobycia panowania nad światem, los sędziwego pisarza wydawał się okrutnym, nieludzkiem, prawie hańbiącym. Sam Kraszewski czuł się zupełnie złamany duchowo, choć ze zwykłą sobie, niestrudzoną pracowitością szukał zapomnienia i lekarstwa na coraz dotkliwsze cierpienia w pracy. Jak przed tym w Moabicie, tak teraz w Magdeburgu, praca twórcza wrzała, nie zwalnając tempa. W ciągu ośmiu dni, od 26 maja, — to jest od pierwszego dnia pobytu w twierdzy do 3 czerwca, zdążył napisać powieść i to powieść nie noszącą na sobie śladu przygnębienia, ani upadku ducha. W ciągu następnych miesięcy powstało kilka nacięć innych powieści, nie licząc korespondencji, ani artykułów publicystycznych.

Spokojny tryb życia więziennego zo stał od czasu do czasu przerywany drobny, a bardzo charakterystycznymi scenkami, będącymi jak gdyby zapowiedzią późniejszych, codziennych obrazków, rozgrywających się w kilkadziesiąt lat potem, na terenach znajdujących się pod okupacją hitlerowskich Niemiec. Oto np. gromadka dzieci, bawiących się na dziedzińcu więziennym, ujrawszy przygarbioną postać starca, wlokącą się mozolnie o kij na godzinną przechadzkę, ze śmiechem i wyzwiskami obrzucała go piaskiem i kamieniami... Za starcem nie ujął się nikt... Więzień... Polak... tak mało znaczył w oczach pruskiego strażnika, chociażby był poza tym człowiekiem o światowej sławie... Czy ta drobna scena nie wywołuje przed oczami innego obrazu... obrazu całych band hitlerjugend, plujących i obrzucających kamieniami naszych więźniów z obozów karnych ostatnim wysiłkiem wlokących za sobą nogi...

Kraszewski wyszedł z więzienia magdeburkiego już jako strzęp, cień dawnego człowieka. Stan swój sam określa najlepiej w następującym wierszu:

„Nie mieć dachu nad głową, ni kąta na ziemi,  
Być ściągany złoćnicą, wzgardzonym tułaczem,  
Przybędą się nazywać pomiędzy swoimi,  
Zaczynać dzień od jęku, a kończyć go płaczem,  
Na próżno żebrać pracy i błagać pokoju,  
Szyderstwami być gnany, smągany potwarzą,  
Zwycięzonym bez walki, pobitym bez boju,  
Takim dziś losem wyroki mię karzą...  
Ale mocen i wielki Pan stoi nad światem!  
I dał moc kałom aby po serca ich próbie,  
Niewinnych serc się pomsć nad bez serca katem,  
Zemstę za okrucieństwa pozostawił sobie...”.

Po półrocznej kuracji stan zdrowia pisarza wciąż jeszcze znajdował się w stanie nie pozwalającym myśleć o powrocie do więzienia. Rząd pruski wszakże nie zważając na przedstawiane świadectwa najpoważniejszych lekarzy niemieckich, ani nowe interwencje, żądał bezwzględnie stawienia się w oznaczonym terminie.

Kraszewski jednak do więzienia nie powrócił. Sprzeciwił się temu wyraźny zakaz lekarzy, obliczających jego życie po powrocie do więzienia magdeburkiego na parę tygodni led-

wo. Jak widać z listów orientował się on bardzo dokładnie w intencjach Niemców w stosunku do swej osoby, skoro pisze wyraźnie, że „zasada jest u Niemców „unsehädlich machen” tych, których nie lubią, czyli zamęczyć legalnie”. Czytając te słowa podziwiać należy naprawdę przenikliwość sędziwego pisarza, a to tym bardziej, że istotne pobudki i metody pruskie były jeszcze w owym czasie wstydliwie maskowane pozorami legalności i starannie ukrywane przed oczami zawsze nieco naiwnej i łatwowiernej Europy.

Chory, znękany, bezdomny, zdany na obcą opiekę, tułał się Kraszewski w ostatnich miesiącach swego życia między Włochami a Szwajcarią. Pracował do końca, nie przestając snuć dalekich planów na przyszłość. Przeżywszy trzęsienie ziemi w San Remo, uciekł w popłochu do Genewy, gdzie też czwartego dnia po przybyciu — 19 marca — w dzień swoich imienin zmarł na zapalenie płuc, którego się nabawił w drodze.

Zgon wielkiego pisarza i długoletniego przewodnika narodu, wstrząsnął głęboko całym krajem. Zapomniano

niedawnych podejrzeń, oskarżeń i zarzutów. Jednogłośnie życzeniem było, by szczątki jego spoczęły w Krakowie na Skałce, co też i nastąpiło w miesiąc po jego śmierci. Rząd pruski jak zawsze ciasny i zakrzepły w nienawiści, nie umiający zdobyć się na odruch wspaniałomyślności nawet wobec majestatu śmierci, nie chciał udzielić pozwolenia na przewóz trumny przez Berlin, śnać po śmierci jeszcze uważając polskiego pisarza za niebezpiecznego i zagrażającego całości i bezpieczeń-

stwa niezwykłego państwa niemieckiego. Musiano ją tedy wręczyć drogą okólną na Wiedeń. Pogrzeb Kraszewskiego, który odbył się on 18 kwietnia w Krakowie, był zarazem wielką manifestacją narodową, choć mało kto nawet i wówczas jeszcze rozumiał zapewne, że stoi przed trumną prawdziwej ofiary nieubłaganej walki żywiołu niemieckiego przeciwko żywiołowi polskiemu.

Ze jednak tak właśnie, nie inaczej, rzecz się miała i w tym wypadku i całym szeregu innych mniej znanych i głośniejszych — znajdujemy na to liczne dowody i wyraźne potwierdzenie w wypowiedziach filozofów, badaczy, uczonych i przewodników narodu niemieckiego, które dyszą po prostu niepokohamowaną nienawiścią i pragnieniem zagłady i zniszczenia. Wedle słów Prusa (1901) „Nienawidź do naszego narodu, która kwitła i dojrzewała początkowo tylko na zagonach pruskiej biurokracji i wojskowości, potem udzieliła się uczonym i filozofom, a od czasów Bismarcka, szczególnie zaś od jego dymisji, zaczęła się rozlewać w całym pruskim społeczeństwie”. Już w 1900 roku pastor Letzius pouczał studentów teologii z całą powagą i namaszczaniem swego stanu, że: „Trzeba przeciw Polakom używać najsurowszych środków, gdyż w walce z nimi jest zupełnie na miejscu zdrowy egoizm, moralna niesprawiedliwość, nawet moralnie uprawnione barbarzyństwo...”. Dalej zaś — idąc wciąż za relacją Prusa — „bogoboyny mąż opierając się na słowach Salomona: „nie bądź za mądry, nie bądź za nadto sprawiedliwy” — radzi znieść prasę polską, rozwiązać polskie stowarzyszenia, a wreszcie zmienić konstytucję na niekorzyść Polaków, a ich samych „zepchnąć do poziomu helotów”. Polacy powinni znać tylko trzy obowiązki: „płacić podatki, pełnić służbę wojskową i stulic pyski...”. „Słowem — dodaje Prus od siebie komentarz — jedyną naprawdę zbrodnią polską jest, że istnieją ludzie takiej narodowości...”.

Mając takich nauczycieli już w 1900 roku takich przedstawicieli Kościoła, których nauki były całkowitym wypaczeniem i zniekształceniem nauki chrystusowej, czyż można się dziwić, że rzucone na „urodzajną” ziemię trująca ziarna wydały tak obfity plon w latach 1939—1945 w postaci masowego, nie spotykanego chyba w dziejach ludobójstwa. Przecież grunt pod nie od dawna był przygotowany przez naukę, filozofię, ba, nawet i protestancką teologię na usługach wybujałego rasizmu. Ze Polska jedna z pierwszych padła ofiarą napaści, że w niej najkrwawiej rozszalał się terror i prześladowanie, znajduje to również logiczne wytłumaczenie we wzajemnym układzie polsko-niemieckich stosunków — przecież od wieków tak było, że „my do wspólnego skarbcia składaliśmy nieopatrznie, a w duchu pruskiej fermentacji do nas żywiołowa nienawiść...”.

W świetle tych wypowiedzi nabiera dopiero pełni wyrazu i znaczenia lipski proces Kraszewskiego. Największą zbrodnią Kraszewskiego w oczach niemieckiego trybunału była jego polskość właśnie. Przeciwnie niej tedy skierowane zostały ataki. Ze zaś przy tym wszystkim był on jeszcze wieloletnim nauczycielem swego narodu, obrońcą jego praw i języka, szerzycielem oświaty, budzicielem ducha, apostołem miłości i jedności braterskiej, przeto zbrodnia jego była niewybaczalna. Wyrok na Kraszewskiego był zarazem wyrokiem godzącym w jego polskość, w cały naród w osobie jego uosobiony.

Największy tragizm polegał na tym, że otumaniony i zaślepiony naród tej ukrytej sprężyny najbardziej istotnego motywu nie pojął i... odwrócił się od niego, pozostawiając go jego losowi i... wrogom — w togi sprawiedliwości kłamliwie przybrany... których też padł ofiarą, na oczach przyglądającej się w milczeniu dramato-  
Wanda Kieszowska

## ROZMOWA ZE ŚW. TOMASZEM

Popularyzacja jest akcją wymagającą wielkiej umiejętności. Wymaga nie tylko głębokiej i rzetelnej wiedzy o przedmiocie wykładu, ale także doskonałej znajomości techniki wykładu, wszystkich jego chwytów psychologiczno-pedagogicznych, obliczonych na jak najbezpśredniejsze zbliżenie odbiorcy do referowanego zagadnienia. Popularyzator, upraszczając, nie może symplifikować wyjaśnianych przez siebie kwestii, uogólniając, nie może ich pośpiesznie generalizować, streszczając, dokonywując niezbędnych skrótów, nie może pominąć ani jednej sprawy zasadniczej, musi przeprowadzić wyraźny podział pomiędzy merytorycznymi a marginalnymi zagadnieniami i skupić się na merytorycznych. Jeśli przebrnie przez te wszystkie trudności, może się poszczycić wielką zasługą z bogactwa szerokiego ogółu wartościami intelektualnymi, które dzięki niemu mogły dotrzeć do przeciętne-go, o średnim wykształceniu umysłu.

Pełne prawo do takiej zasługi ma ks. biskup Michał Klepacz ze swoją pracą o św. Tomasz i jego znaczeniu w dziejach myśli ludzkiej. Spełniała ona swoje popularyzatorskie zadanie na wiele sposobów. Najprzód jako odczyt wygłoszony w Łodzi w marcu 1948 roku, później jako artykuł w „Znaku”, wreszcie jako osobno wydana broszurka. Ma wszystkie walory rzetelnej, wysokogatunkowej pracy popularyzatorskiej: wyraźną, jasną konstrukcję logiczną, łatwy, przystępny język wykładu, świetnie zharmonizowany zespół chwytów psychologiczno-pedagogicznych, a przytem niewątpliwą erudycję, umiejacą skupić snop światła na

kwestiach merytorycznych, pozostawiającą w cieniu marginalia.

Jasna konstrukcja logiczna wykładu opiera się na prostym i świętym jego planie: od ogólnej charakterystyki średniowiecza (z uwzględnieniem jego trójdziałowości) do charakterystyki nauk św. Tomasza, a później — poprzez konfrontację osiągnięć tej nauki z systemami późniejszych okresów, w porządku chronologicznym, do kapitalnego zestawienia zasadniczych cech tomizmu i wypuklenia ich wielkiej roli w dobie dzisiejszej. Łatwy, przystępny język ani przez chwilę nie utrudnia czytelnikowi zrozumienia wykładu. Wykładowca trudniejsze terminy tłumaczy usłownie w nawiasach, aby nawet przez chwilę nie znużyć swego odbiorcy.

Świetnie zharmonizowany zespół chwytów psychologiczno-pedagogicznych zapobiega jakiemukolwiek rozluźnieniu uwagi. Barwne obrazy z dzieła Jeansa, kreślenie fizycznej sylwetki św. Tomasza, mądrze wtrącona anegdota o Wiszniewskim, wreszcie odważny pomysł oświetlenia roli św. Tomasza na tle dziejów myśli ludzkiej w formie rozmowy przeprowadzonej z samym Doktorem Anielskim — wszystkie te chwytły ożywiają, barwnie ilustrują wykład, podają treść w taki sposób, że wszelkie opory mało przygotowanego umysłu wobec trudnej i ciężkostrawnej naukowości znikają bez śladu.

A z naukowości, rzetelnej i głębokiej, autor ani przez chwilę nie rezygnuje. Jak wspaniale potrafił zharmonizować jej wymagania z arcytrudnymi postulatami pracy popularyzatorskiej, świadczy choćby fakt, że nie ograniczył się do kregu relacji historycznej, ale dał własne, ciekawe oświetlenie egzystencjalizmu, wkładając je zresztą w usta swego Wielkiego Rozmówcy. Warto ten fragment odczytu przypomnieć. Pod koniec rozmowy,

Zyg. lich.



Wojciech Bąk

## F E L I K S

Feliks nie powinien był tego uczynić. Nie chce bynajmniej umniejszać jego dobrej sławy. Rozumiem również, że wszystko wynikało z jakiegoś ludzkiego pragnienia wciągnięcia innych we własną zgubę, z jakiegoś ludzkiej obawy przed samotnością śmierci. Ale powinien sam być oparowca. Ten dzielny żołnierz na tym punkcie zawiodł całkowicie.

\*\*

Udało się nam nareszcie przekonać panią Stefanię, że dalsze pozostawanie w Warszawie jest bezcelowe. O zwycięstwie nad Niemcami oczywiście nie mogło być mowy. Codzienne bombardowania samolotami były tego dowodem. Nie było na nie rady. Można było walczyć z żołnierzami, z czołgami, ale samolotów nie można było osiągnąć. Nadzieje na stałe operowanie samolotów anglo-amerykańskich nad Warszawą okazały się całkowicie zawodne. Należało klęskę przewidywać. Nie mówiliśmy tego oczywiście pani S. nił. Pocięliśmy ją, że wszystko się dobrze skończy, że na podstawie najlepszych informacji zwycięstwo jest pewne, lecz walka jeszcze się może na dłuższy czas przeciągnąć.

Trzeba, żeby opuściła Warszawę. Właśnie ona — starsza, 60-letnia kobieta — nie ma w tym obozie warunków nic do czynienia. Tutaj tylko zawadza. Od Niemców zaś jej nic ze względu na wiek grozić nie może. Staraliśmy się także przekonać Irenę, żonę Feliksa, że i ona powinna wyjść razem z panią Stefanią.

Irena dość szybko się na to zgodziła. Oczywiście i ona się opierała, ale sprawa poszła o wiele gładziej, niż to było można przypuszczać.

Osobiście zamierzałem Warszawę opuścić, licząc na to, że pięcioletnie rany uwolnią mnie od wysiłki do Rzeszy.

Trzeba przyznać, że Feliks w tym okresie postępował jak należy. Przekonywał, namawiał, tłumaczył. Twierdził, że ma przecucie, że się wszystko dobrze skończy. On sam — dowódca małego oddziału A. K. — nie może oczywiście Warszawy opuścić, co innego jednak matka i żona. Błagałem wzrokiem patrzył przy tym na Irenę. Mówił jednak wyraźnie, że tak samo Irena powinna opuścić miasto. Jakoś im się uda wymknąć z obozu w Pruszkowie, gdzie zresztą mieli bliskich krewnych — rodzinę matki. To jest jedyne racjonalne wyjście.

Irena szybko zrozumiała położenie. Przeprowa miała odbyć się normalnie ze Złotej na Aleje Jerolimskie — potem przekopem na drugą stronę i wreszcie na ulicę Śniadeckich, gdzie oddziały Polskiego Czerwonego Krzyża przeprowadzały ludność do stanowisk niemieckich.

\*\*

Już od kilku dni zauważyłem, że z Feliksem nie dobrze się dzieje. Nie to mnie dziwiło, że widział klęskę — tę już wszyscy chłodno myślący widzieli. Gorzej było — mówił, że zginie.

— Tego nikł przewidzieć nie może.

— Widzisz, ale ja nieraz czuję, że to miasto wali się na mnie. Nieraz przechodząc ulicami mam takie wrażenie, jakbym przechodził po własnym grobowcu. Wydaje mi się, że chodzę po swoim ciele, i to ciało w zgłiszczach jest więcej rzeczywiste, niż prawdziwe ciało. Czuję, że jestem zasypany, duszę się...

\*\*

Nie lubię takiej szczerości. Któż z nas zresztą nie miał raz po raz takiego wrażenia. Żle było, że Feliks mówił o tym — nie o wszyst-

kim należy mówić. Mówienie nie tylko nieraz nic nie pomaga, ale rozkładła nas od wewnątrz, rozkleja nas. Może słowa jego były wynikiem wyczerpania nerwowego. Conocone wyprawy przestały mieć czar przygody. Stały się zawodem. Codzienny widok błysków gramofonów ręcznych, rannych, przekradanie się przez usypiska gruzów, powroty bez towarzyszy, których ciała pozostały wśród zgłiszcz — wszystko to już dawno pozbawiło życie powstańca uczucia niespodzianki i przygody. To już była zwykła wojna. Smutny zawód, tym smutniejszy, że tylko bardzo nieliczni liczyli jeszcze na zwycięstwo. Nie można się dziwić, że w takich warunkach rozpowszechniło się pijaństwo.

Feliks nie pił; jedynym odpoczynkiem dla niego były chwile, które spędził z żoną i matką. Ten piękny mężczyzna, ukochany i pieszczone przez obie kobiety, uciekał do ich towarzystwa, skoro tylko to było możliwe. Zapominał wtedy o beznadziejności sytuacji. To, że nie mógł zresztą mówić z nimi szczerze o tragicznym położeniu, że musiał ciągle udawać nadzieję, było korzystne dla niego. Tylko przede mną raz po raz wyrażał, a właściwie usiłował wyrazić tę rozpacz, która go ogarniała na widok beznadziejności położenia. Skoro jednak zaczynał o tych sprawach mówić, przerywałem mu. Nie mogliśmy sobie pozwolić na podwojenie rozpaczliwych wyrzekań.

\*\*

We wtorek wieczorem przeprowadziliśmy obie panie. Ludzie, opuszczający Warszawę, ustawili się w długi szereg. Ponura to była procesja. Na tle lun niewygasłych domów posuwał się nocą pochód rannych, starców, dzieci i kobiet. Przejście przez Marszałkowską było niebezpieczne, i ludzie mogli tylko pojedynczo przekopem się posuwać, gdyż Niemcy z Banku Gospodarstwa Krajowego co chwile sy-pali salwą karabinów maszynowych. Pod niebem rozjarzonym jaszkrawym przepychem gwiazd, na tle dymów pionących kamienie miasta przesuwała się tragiczna procesja.

Feliks posuwał się w milczeniu. Ustawicznie patrzył na Irenę, jakby starał się wzrokiem ją przekonać, by pozostała. Ale na Irenę podzielał pochód tłumy. Zaczęła się niecierpliwie, że pochód zbyt powoli się przesuwa. Instynkt życia za wszelką cenę niósł ją. Ścisnąc rękę Feliksa, szeptała:

— Skoro już zdecydowaliśmy się wyjść z miasta, niech się to stanie dzisiaj. Nie wiem, czy jutro będę miała dość siły na decyzję i przecięć zobaczymy się... Na pewno się zobaczymy... Mam najlepsze przecucia.

Pani Stefania milczała. Cały czas tłumaczyłem jej, że opuszczenie miasta jest jedynym racjonalnym rozwiązaniem sytuacji. Nie odpowiadała na moje uwagi. Dała się posuwać, jakby była martwą bryłą ciała, nie żywym człowiekiem. Bałem się, że z pamięci mogą powstać w ostatniej chwili trudności, tymczasem wszystko poszło gładko i nad ranem znaleźliśmy się po drugiej stronie Alei.

Tutaj panowała jeszcze atmosfera względnej pogody. Padło co prawda kilka bomb, ale nie można było mówić o zniszczeniu dzielnic. Ludzie wstawali normalnie, jedli śniadanie, chodzili swobodnie po ulicach. Roznoszono pisma, — w ogóle nastroj był jak na owe czasy, sielankowy. Był to nastroj tej dorywczej wolności, którą Warszawa przeżyła krótkotrwałe podczas powstania.

Irena przyszła szybko do siebie, przestała się denerwować. Umyła się, uczesała, w pokoju, który nam na godzinę wypożyczono. Zaczęła żartować, była w dobrym humorze. Koło 11-tej rzekła do Feliksa:

— Wiesz, niepotrzebnie uciekamy z Warszawy. Nie mogą cię zresztą zostawić samego — to ponad moje siły. Zostanę!

Feliks chciał już coś odpowiedzieć, lecz przerwałem mu: Nie potrzebowałem jej długo tłumaczyć, w tej chwili bowiem dał się słyszeć głuchy warkot samolotów, jakbyśmy je z sobą przyciągnęli. Dzielnica, dotąd prawie nienaruszona, stanęła w ogniu bomb.

Ledwo zdążyliśmy zbiec do schronu, gdy zaczęły się bomby sypać. Nagle cały schron podskoczył — wszystkie lampy karbidowe zgasły, gęsta chmura ciepłego pyłu wisiała się do gardła. Krzyk kobiet i dzieci, znany nam tak dobrze, rozlegał się tutaj po raz pierwszy.

Bomba trafiła w dom, w schronie zlamaly się schody drewniane. Tłum rzucił się do wyjścia, czepiając się resztek balustrady, wyczołgował się na podwórze, gdzie wśród gruzów leżały krwawiące szczątki ludzi, którzy stali w bramie. Poprzez usypisko ruin i trupów wydostaliśmy się na środek ulicy.

Wtem nadpłynęła druga eskadra samolotów. Dom przed nami uinął się w powietrze słupem dymu i kurzu, jakby chciał się oderwać od ziemi i wlecieć pod niebiosa. W widoku tym było dziwnie niesamowite piękno, lecz nie można mu było poświęcić sekundy. Udało się nam wbiec do sąsiedniej bramy.

Przeciskaliśmy się przez przepelnione schrony piwnic. Feliks, który dotychczasowo w sposób może nieswiadomy przeciągał przeprowę, posuwał się teraz energicznie. Pani Stefania szła jak zwykle, milcząco. Udałem, że tego nie zauważam. Szeptalem tylko:

— Widzi pani, jak konieczne jest opuszczenie miasta przez kobiety. Przecież pozostawanie tutaj jest tylko pomnożeniem bezużytecznych ofiar. Co innego wojskowi. Mam najlepsze informacje, że w najbliższych dniach przyjdzie pomoc, wszystko się skończy niewątpliwie dobrze.

Pani Stefania nie odpowiedziała nic na moje słowa. Spojrzała tylko tak chłodnym wzrokiem, że przerwałem. Uczułem w tym wzroku wrogość, nie miałem jednak czasu nad nią się głębiej zastanawiać. Ostatnie tygodnie przyzwyczaiły mnie do tak niespodziewanych odruchów ludzkich, że przestałem się dziwić czemukolwiek. Zylśmy jak na huśtawce, gdzie co chwile nadzieja zmieniała się w radość, zachwyt w grozę i odwrotnie.

Irena także płakała, trzymając ciągle Feliksa za rękę. Nie mówiła już jednak nic o pozostaniu.

\*\*

Dobrnęliśmy nareszcie do ulicy Śniadeckich. Znaleźliśmy się w wielkim schronie, skąd wyruszały pochody rannych, chorych, kobiet i dzieci na drugą stronę miasta.

Nastroj w schronie był ponury. Omijano sprawę opuszczenia miasta, jakby wszyscy czuli zawstydzenie. Mówiono o rzeczach prostych, o tym, ile drobiazgów z sobą zabrano, jak zamysłano uciec od Niemców, jak zamierzano urządzić się w przyszłości...

Wszystkie te rozmowy były nieprawdziwe. Chciano nimi zagłuszyć wewnętrzne poczucie winy, które w wszystkich żyło, choć trudno było o jakiegokolwiek winie mówić. Natura ludzka nie rządzi się

jednak zwykłą logiką przyczyn i skutków. Wyjście było dozwolone, przez dojrzałych ludzi nawet zalecane w przewidywaniu klęski głodu i totalnego zniszczenia, a jednak nie było nikogo, kto by nie czuł wewnętrzznego sprzeciwu, jakby miasto magnetyczną siłą ciągnęło do swojego tragicznego losu.

Rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych. Teraz Feliks zawiodł. Przecież wiedział doskonale, że kobietom grozi najgorsze, przecież uświadamiał sobie, że sytuacja jest bez wyjścia. Nigdy bym się tego po nim nie spodziewał. Ten spokojny, zrównoważony mężczyzna uległ teraz strachowi, strachowi przed samotnością w zgubie. Ten lęk nie przejmował go w potyczkach, lecz właśnie tutaj. Tam zawsze czuł koto siebie aure najblizszych, tutaj stanął przed koniecznością świadomego przecięcia najintymniejszych więzów ze światem, koniecznością pożegnania ostatecznego. Rozumiem, że do tego potrzebna odwaga moralnej, ale tej można było przecięć oczekiwać od człowieka tak odważnego fizycznie.

Znikł, pociągając za sobą Irenę. Po dłuższej chwili powrócił z nią. Irena rzekła ze łzami:

— Mamo, ja tu zostanę. Feliks prosił mnie, żebym pozostała. Obawia się on, że zginie samotnie...

Byłem oburzony, zamierzałem powiedzieć kilka ostrych słów Feliksowi. Spojrzałem na niego. To jednak nie był już okazały, przystojny mężczyzna, lecz chłopiec. Jakby się zmniejszył. Twarz jego miała wyraz dziecinny. Byłem zaskoczony. Jakby go rozebrano z mundurku i nagim, chłopięcym ciałem stanął przed nami. Nerwowo turl rękę o rękę. Unikał moich oczu.

Pani Stefania rzekła: — Feliks nie zostanie samotny, możesz spokojnie wyjść. — Naturalnie — powiedziałem — przecięć ma tutaj kolegów, przyjaciół...

— Nie o to chodzi... Ja pozostanę. — Jakże to? Po co w takim razie zsiłny aż tutaj?

— Ja pozostanę. — Dlaczego ta zmiana decyzji? — To jest moje miasto. Nie mogę go opuścić. Wahałam się. Teraz jednak uświadamiam sobie, że nie opuszczę go. Nie czynię tego tylko dla Feliksa, jestem pewna, że nic mu się nie stanie. Ty, Ireno, musisz wyjść, będziesz nas oczekiwała. Tutaj ktoś zostać musi. To jest moje prawo i mój obowiązek.

Mówiła głosem spokojnym i tak silnym, że odczułem, że jest to nieodwołalna decyzja.

Irena zaczęła także zapewniać, że zostanie. Nie wątpiłem jednakże, że jest to chwilowa egzaltacja. Na pewno była szczerą, a jednak czuło się w jej głosie pod powierzchnią chwilowej prawdy wewnętrznej nieświadomy, ale głęboki sprzeciw.

Tak się nie wyraża wola moralna, ale odruch. W oczach jej dostrzegłem tę trwogę, jaką czują zdrowi ludzie, gdy konający zimne palce zaciska na ich dłoń. Trwogę przed wciągnięciem w śmierć.

Feliks upadł na toboiki, które zabraliśmy z sobą. Zaniósł się płaczem. 24-letni mężczyzna nie dorósł do roli, jaką mu życie wyznaczyło. Odczułem dla niego lekko pogardliwą litość. Szeptalem:

— Nie, mamo! Odejdź ty także, bo ja wiem, że zginę, ja to czuję... Ja muszę zginąć... Ale odejdźcie wy!

Pani Stefania pochyliła się nad nim. Złożył głowę na jej kolanach, łkając. Był w tej chwili bezradnym dzieckiem.

— To nie prawda, Feliksie, to nie

prawda. Zobacysz, że wszystko się dobrze zakończy. Nie bój się, tu jest moje miejsce. Zawsze będę czekała, jak dotychczas.

— Nie, nie, ja zginę. Odejdźcie, musicie odejść...

— Nie zginiesz — to już niedługo potrwa. Potem spotkamy się z Ireną. Mówię ci, wszystko się dobrze ułoży.

Chciałem Feliksa przywołać do przytomności. Zanim jednak zdążyłem otworzyć usta, rzekła pani Stefania:

— Doprawdy, niech pan nie usiłuje mnie przekonywać. Nie pójdę! Odczułem, że próżne byłyby tu wszelkie argumenty. Zrozumiałem, że pani Stefania zna całą prawdę klęski, i że nie ma sposobu zmieniania jej woli. Feliks u jej kolan był dzieckiem. Z niej pozostała tylko matka. To już nie był przystojny, młody żołnierz, ale tylko bezbronne dziecko, — i to już nie była siwowłosa, starsza dama, lecz tylko matka. Tak to właśnie wtedy czułem.

Po chwili, głaszcząc jego włosy, rzekła:

— Feliksie, Irena musi wyjść z miasta. Musisz to zrozumieć. To jest konieczne!

— Tak, ja to pojmuję. Tak, Irko, idź — niebawem się zobaczymy. Nie lekaj się o mnie, to był z mej strony tylko chwilowy odruch.

Irena dała się przekonać. Wyszliśmy z Warszawy tego samego popołudnia. Żegnając się ze mną, rzekła:

— Mama jest piękna. Nigdy nie wiedziałam, że jest tak piękna. Muszę jej to powiedzieć, gdy się spotkam, bo przecięć na pewno się spotkamy?

— Na pewno. — Cóż miałem odpowiedzieć imago?

\*\*

W istocie Feliks zginął. Nie powrócił któregoś nocy. Ciała jego nie znaleziono. Pani Stefania także zginęła. Z opowiadań znajomych dowiedziałem się, że kilka dni po jego śmierci padła ofiarą bomby. Do ostatniego dnia życia przychodził do niej Feliks, skoro to tylko było możliwe. Podobno był w bardzo pogodnym i dobrym nastroju. Gdy pani Stefania powiedziano o jego śmierci, nie wybuchła płaczem, ani nie rozpaczala. Powiedziała tylko:

— Będziemy mieli wspólny grób. W istocie ten wspólny grób znalazła. Ogromny, patetyczny grób.

\*\*

Z Ireną spotkałem się wczoraj. W kawiarni opowiedziała mi o swoich dziejach podczas okupacji. Jest teraz urzędniczką w „Społem”. Nie zmieniła się prawie wcale. Szare oczy nabrwały tylko odcienia grozy, a w kasztanowych włosach srebrzył się rzadko sływy włos.

— Jaka szkoda, że pani Stefania nie opuściła także wtedy Warszawy. Przecież to było najrozsądniejsze wyjście. Z tego, że ktoś musi zginąć, nie wynika, żeby mnożono niepotrzebne ofiary. Ale Feliks...

— Niech pan nie mówi o nim źle. Nie, nie... Wie pan, ja go rozumieam — i jest mi wstyd, wstyd za siebie.

— Jakże to? Przecież pani postąpiła najwłaściwiej i najroztropniej.

— Wiem o tym, pan ma całkowitą słuszność, a jednak nie umiem tego wstydu przezwyciężyć jakby...

— Jakby?... Nie rozumiem pani.

— Nie wiem, czy to dobrze wyrażę. Niech się pan ze mną nie śmieje...

— Niech więc pani mówi.

— Jakby nie trzeba żyć. — ale być pięknym.

Wojciech Bąk



## W kraju

### SPRAWY HARCERSKIE

Na konferencji prasowej w dniu 21 bm. Naczelniactwo ZHP omówiło tegoroczną akcję letnią Harcerskiej Służby Polsce, a także Centralną Akcję Szkolenia Instruktorów na kursie w Świdrze pod Warszawą.

Najbardziej rewelacyjnym z całej konferencji był referat generalnej sekretarki ZHP p. Lewińskiej omawiający przemiany ideologiczne Harcerstwa. Prelegentka postulowała odrzucenie systemu Baden Powella, jego założeń ideologicznych i metod wychowawczych. Określała je jako antidemokratyczne i wyrosłe z ducha i potrzeb ustroju kapitalistycznego.

Wydaje nam się, że przemiany ideologiczne ZHP mogą budzić wątpliwości. System skautowy był niewątpliwie w pewnej mierze wynikiem potrzeb Imperium Brytyjskiego na przełomie XIX i XX w. W ogólną jednak pedagogikę, a zwłaszcza w pedagogikę zespołów rówieśniczych wniósł niewątpliwie bardzo dużo. System zastępowy, związek z przyrodą, idea służby potrzebującym wydają się trwałymi zdobyciami wychowania współczesnego młodzieży. Dlatego też, nie znając szczegółów krytyki przeprowadzonej przez Lewińską, a jedynie jej prasowe streszczenia wyrażamy obawę, czy nie idzie ona zbyt daleko. Jedno z pism sprawozdanie z konferencji prasowej tytułuje: „Odrzucenie ideologii Baden Powellovskiej”. Przepuszczamy, że jest to jedynie licentia poetica dziennikarzy nie mających pojęcia, czym jest Skauting i nie rozumiejących, że Harcerstwo może i powinno znajdować sobie coraz nowe tereny służby narodowi, że jednak nie może zrezygnować z tych zdobyczy wychowawczych, które z górą od czterdziestu lat stały się arsenalem całej pedagogiki młodzieżowej.

### JEDNOLITE SZKOŁY PARTYJNE

W ramach coraz bardziej zacieśniających się stosunków między obiema partiami robotniczymi postanowiono uruchomić jednolite szkoły partyjne na szczeblu powiatowym. Przed rozpoczęciem pierwszego wspólnego turnusu Wydział Szkoleniowy CKW PPS i KC PPR przeprowadzają seminarium dla personelu naukowego. Na seminarium omówione zostaną między innymi zagadnienia gospodarki Polski w najbliższym okresie.

### AKCJA SIEWNA

Min. Dąb-Kociol omówił w dniu 20 bm. na konferencji dyrektorów wojewódzkich działów rolnictwa przygotowania do jesiennej akcji siewnej. Pod oziminę przeznaczono zostało 5 mil. 117 tys. ha. Jeśli dane opublikowane przez prasę codzienną są ścisłe, to należałoby skrytykować zbyt małą ilość przewidzianych do uprawy roślin przemysłowych. Pod rzepak ozimy przeznaczono zostało jedynie 30 tys. ha. Chyba, że zasiewy wiosenne uzupełnią areal roślin olejnych.

### Nowość

Jan Dobraczyński

## „WYBRAŃCY GWIAZD”

powieść

str. 304 zł. 800.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Artykuł p. Wojciecha Kętrzyńskiego, zatytułowany „Ostrożnie z romantyzmem”, zawiera szereg tez apodyktycznych, — które chciał bym tu po kolei rozpatrzyć.

Pierwsza z nich brzmi tak: „Nie widzimy żadnej racji praktycznej dla której należałoby dziś podejmować kampanię dla wzmożenia i utrwalenia w społeczeństwie polskim, romantycznych tradycji. Zwłaszcza wówczas, gdy z płaszczyzny artystycznej pragnie się kult dla nich przenieść w płaszczyznę ideologiczną”.

Tu na wstępie — małe sprostowanie. Nikt nie zamierzał tych tendencji utrwalać i wzmacniać. Wilka z lasu wywołał epigoni drobniomieszcząnskiej orientacji pozytywistycznej. Oni właśnie usiłowali nam wmówić, że romantyzm w sensie literackim ponosi odpowiedzialność za nasze klęski narodowe, będące, jak wiadomo, skutkiem rozkładu trwającego od kilku stuleci.

Skoro już ożywiono tę kwestię, należało wyraźnie przypomnieć, że romantyzm był przez 150 lat polskiej niewoli, ważnym elementem duchowej suwerenności narodu. Ten kierunek stał się organem twórczej samowiedzy. Chociaż zawierał w sobie pierwiastki ogólnoeuropejskie, skutecznie uodpornił całe pokolenia przeciwko obcym i niepożądanym wpływom. Był zachętą do samookreślenia w podstawowych sprawach. Wyrzucił katastrofę, ale jej nie spowodował. Ojcowie nasi, zawdzięczali mu swoją odporność i wiarę w wyzwolenie Polski.

Druga teza, neguje aktualność tej artystycznej tradycji i składa ją do lamusa. P. Kętrzyński zapewne o tym słyszał, że istnieją dwa sposoby pojmowania kultury. Nowoczesny i staroświecki, opierający się na dość naiwnej wierze, że kultura jest szeregiem zjawisk, które się stopniowo wypierają i gasną wzaajemnie. Filozofia strukturalna dawno skończyła z tą atomizacją jednolitych i ciągłych procesów. Kultura jest organizmem żywym, różnorodnym i wielokierunkowym. Istnieje jako rzeczywistość współcześnie obecna, zrozumiała jedynie w całości i w powiązaniu wzajemnym. Trzeba w niej widzieć hierarchię wiecznie młodych zapładniających duchowo wartości. Szekspir jest tak samo dzisiejszy jak Dante, Mickiewicz, czy Puzsikin. Wielkości się nie likwidują. Powiem krótko: Wszystko, co w literaturze współczesnej jest irracjonalne, tak czy inaczej wywodzi się z romantyzmu. Nawet surrealizm! O tych sprawach świat nie pisze w „Znaku” p. M. Morstin Górski.

Trzecia teza brzmi tak: „W płaszczyźnie społecznej, problemy radykalizmu społecznego dawno wyrosły z atmosfery romantycznych zrywów, a kierunki, które ten radykalizm głoszą tylko po kądzieli mogą swój rodowód z romantyzmu wywodzić”.

Rozumowanie to jest ahisteryczne. Mówiąc o genezie pewnej postawy socjologicznej trudno się dziwić, że nie odpowiadała ona naszym współczesnym potrzebom. Ostatecznie i socjalizm był kiedyś założeniem czystoutopijnym. To konieczne stadium rozwojowe w naszym go przecież nie dyskwalifikuje. Trudno mi pojąć sens wyrażonych w tym miejscu pretensji.

Czwarta teza brzmi tak: „To, co w społeczeństwie ze spuścizny romantycznej pozostawiło najmocniejsze odbicie, to co stanowi istotną tradycję poromantyczną — to kult irracjonalizmu, tani sentymentalizm, słabeuszość, cierpiętnictwo i atmosfera niezdrowego mistycyzmu w tych dziedzinach życia i myśli, gdzie miejsca na mistykę w ogóle brak”.

Zupełnie fałszywa diagnoza. Urojony lęk przed romantyzmem znie-

Artur Zatopiński

# Nie fałszować romantyzmu

kształcił naszym neopozytywistom rzeczywisty obraz społeczeństwa. Chciałbym publicznie zapytać p. Kętrzyńskiego, gdzie widzi on ten irracjonalizm? U chłopca nigdy go nie było. U robotnika go nie ma. Co więcej — Polacy nawet pod okupacją wykazali ogromny zmysł handlowy, talent do interesów, za miłowanie do szmuglu i spekulacji giełdowej. Prawdę mówiąc — nie wszyscy walczyli. Duży odłam po prostu robił pieniądze. Heroizm graniczył u nas o krok z trzeźwym kupieckim cynizmem. Nie róbmy ze siebie ludzi nierealnych, bo w to już nikt nie uwierzy. Nawoływania do realizmu są bezprzedmiotowe. Naród nie ma ochoty do szaleństw! Zerwijmy wreszcie z tą fikcyjną i nudną legendą. Wiem, jaki tu padnie argument. Oczywiście — powstanie warszawskie. W tej sprawie wypada jeszcze poczekać na obiektywny, wszechstronny materiał.

Dalej: Tani sentymentalizm zanika dziś nawiązań w dąsach. Za stąpiła go rozwydrzona brutalność. Słabeuszość? Przeciwnie! Ludzie wracający z zagranicy mówią, że takiego wybuchu witalności nigdzie się nie widuje. Wspaniałe tempo odbudowy jest obiektywną zasługą praktycznie dziś myślącego narodu. Trzeźwości nikt nas już uczyć nie potrzebuje. Wykazujemy jej dosyć.

Piąta teza brzmi tak: „Wykłady paryskie Mickiewicza, jego działalność polityczna, korespondencja Słowackiego czy mądre choć trudne do zrozumienia tyrady Norwida mogą wprawdzie zachwycić znawców i erudytów głębokością i dalekowzrocznością sądów, lecz nie stanowią tego, co ze spuścizny romantyzmu utrwaliło się w świadomości społeczeństwa”.

A czyja to wina. Panów dziennikarzy, którzy zamiast wymyślać na romantyzm przedstawiony w wersji zniekształconej, powinni się byli za jąć popularyzującą tych „głębokich i dalekowzrocznych sądów”!

P. Kętrzyński, przyznaje co prawda, że takie rozsądne opinie wieszczom się trafiały, lecz kilka linii dalej zaprzecza sam sobie i mówi: „Gdy wreszcie ma być mowa o politycznym realizmie wieszczów — to poprzez cytaty przebijają idee mesjanistyczne — cierpiętnicze, hurra-patriotyczna egzaltacja lub naiwne moralizatorstwo”.

Jeśli cierpiętnictwem nazywać ze chcemy rozważania dotyczące wartości i sensu cierpienia, — mętny i pogardliwy ten termin może okazać się obelżywym w stosunku do wielkich żywotów i klasycznych katolickich ksiązek.

Romantyzm ukazywał mękę, z której rodziła się moc. On nigdy nie czynił nas wobec nieszczęścia bezbronniymi i nie uprawiał modne go dziś kultu bezprzedmiotowej w istocie rozpacz.

A jak to było z tą hurra-patriotyczną egzaltacją? Niechże p. Kętrzyński przeczyta sobie odezwę Słowackiego „Do emigracji o potrzebie idea” i Krasińskiego „Wstęp do Przedświt”. Może wtedy uzna, że robienie z naszych wieszczów heroldów samobójczego szaleństwa jest dowodem ignorancji już zbyt dalekoidającej.

Słowacki wysmiewał kult szabli i kolorowego ułana, a zwracając się do Polski, pisał: „Opinią o Tobie jest, że myśleć nie umiesz, a dobrą jestes tylko do korda”.

Szosta teza brzmi tak: „Gdy wychwalają romantyzm postępowy, uniwersalistyczny, — wydobywają spod ziemi chorobliwy indywidu-

alizm i amoralny liberalizm Jana Jakuba Rousseau, ciężki niemiecki idealizm, idealizm Kanta, Schellinga czy Hegla.”

Kant nigdy nie był idealistą! Ale mniejsza o to. Takich potknięć w tym artykule nie liczę. Ważniejsze jest co innego. Proszę mi wymienić chociażby jednego publicystę, który głosi we współczesnej Polsce kult myśli J. J. Rousseau. Każdy student wie, że ani w naszym życiu umysłowym, ani na Uniwersytetach nie ma dzisiaj kontynuatorów filozoficznej tradycji idealistycznej. Tylko materializm dziejowy wywodzi się u nas z heglizmu. Ale to już jest inna i dosyć sporna historia. Więc gdzież są właściwie ci odgrzebywacze?

W przeszłości? Także nieprawda! W korespondencji z Czartoryskim, Słowacki przestrzega przed szkodliwymi wpływami filozofii Rousseau. Podobnie idealizm niemiecki był przez filozofów naszych zaciekłe i ostro zwalczany. Atakował go wielokrotnie Mickiewicz, Cieszkowski, Trentowski i Liebelt. Oni wszyscy odrzucali heglowski panteizm. W ich pismach doszła do głosu wiara w realne istnienie świata, który dla idealistów był wytworem świadomości i treścią naszych spostrzeżeń. Niemieckiej teorii abstrakcji zdecydowanie przeciwstawia się tu wszędzie myśl o osobowym Bogu, czyli o istocie wyodrębnionej w stosunku do świata.

Wiadomo, że Wroński był znanym przeciwnikiem Hegla. Uważał, że rozum rozwijający się dzięki negacji swych tez, jest czynnikiem rozkładu. Na miejscu niszczącej dialektyki sprzeczności, postawił prawo stworzenia. Uznał, że byt i wiedza są to dwa elementy pozytywne, składające się na rzeczywistość. Wyselektował poza materializm, idealizm i pragmatyzm, przeczytując już i zarysowany w obrębie jego systemu. Przewycięzył te trzy kierunki w wielkiej nadrzędnej syntezie. Przed umysłem jego stanęły trzy możliwości: 1) Byt określa wiedzę (Materializm). 2) Wiedza określa byt (Idealizm). 3) Byt określa strukturę aktu twórczego. Czym skuteczny. Kształtujące go bezpośrednio działanie (Kreacjonizm). (Pragmatyzm). Wroński ustalił dialektyczną zależność między tymi trzema fazami rozwoju. W Paryżu, od wielu lat istnieje towarzystwo filozoficzne, zajmujące się kontynuacją i opracowaniem tych rzeczy u nas prawie zupełnie nieznanymi. Czy to nie wstyd, że naród obdarzony łacińską jasnością i precyzją intelektualną od dawna zajął się filozofem, którego nasi niedouczeni mądrale uznali za podejrzaną i ciemną kreaturę?

Świeżo miałem w ręku pismo Messenger de Pologne z maja 1948, pełne artykułów i rozpraw, związanych z twórczością Wrońskiego. Skądinąd także wiadomo, że słynny Villareal, astronom i matematyk, obecny Prezes Akademii Nauk, profesor Uniwersytetu w Limie roz budowuje mechanikę niebios, zapoczątkowaną przez myśliciela polskiego.

Tylko my, z naszym przeklętym kompleksem niższości pozwalamy sobie na lekceważenie bardzo istotnych osiągnięć, dlatego, że jesteśmy leniwi i niedokształceni, że podświadomą pogardę żyjemy dla tego co nasz horyzontek przerasta. Polacy zawsze nienawidzili swoich wielkich ludzi.

Posłuchajmy wywodów p. Kętrzyńskiego. Pogromcę heglizmu na-

zywa on Niemcem z umysłowości, przeciwnika Rousseau i encyklopedystów — Francuzem z kultury, uczestnika powstania kościuszkowskiego, który z armii rosyjskiej uciekł do legionów — carskim pułkownikiem z kariery!

Oto publicystyczna rzetelność! Straszny zarzut! Wroński — ten Czech z pochodzenia! No, więc cóż z tego? Jeśli tak patrzyć zechcemy, wypadnie nam z kolei zabrać się do Lelewela (dziad von Lewnsprung!) i do Pola (ojciec Pohl) i do Kolberga i do Glogera, nie mówiąc już o wielu innych. Znamieniem duchowej wartości narodu jest jego siła asymilacyjna, różnorodność harmonijnie zespolonych nurtów.

Pan Kętrzyński uważa filozofię Wrońskiego za mętną. Jeśli mętnym nazywać będziemy wszystko, czego ktoś nie potrafi zrozumieć, cóż pozostanie z kultury. Przecież każdy system filozoficzny posiada swoją terminologię w pewnym stopniu niedostępną dla laików i dyletantów. Trzeba najpierw zapoznać się z definicjami podstawowych pojęć, żeby w ogóle móc zabierać głos w sprawach zupełnie sobie nieznanymi.

Odpowiedzmy teraz na pytanie, dlaczego w pewnych sferach filozofia wrońskiego uchodzi za „podejrzaną”. Z bardzo prostej przyczyny. Myśliciel ten na drodze rozumowej uzasadniać próbował dogmaty wchodzące w skład tajemnic wiary. Czynał tak jeszcze przed Soborem watykańskim, kiedy postępowa nie podobne, nie napotykało na sprzeciw ze strony Kościoła. Identyfikacja uświatowania w okresie znacznie wcześniejszym podjął zarówno św. Klemens jak i św. Anzelm. Żaden Papież ich za to nie wyklął! W oczach mistyków Wroński uchodził za racjonalistę. Racjonalista natomiast widzieli w nim mistyka, posługującego się dialektyką w odnie sieniu do spraw irracjonalnych.

Siódma teza brzmi tak: „Wydo bywając z przeszłości wszelkie wartości, jakie ona kryje trzeba dziś budować własne oryginalne myśli i kierunki, startować bez niepotrzebnego balastu przesądów i nieporozumień”.

Zgoda, lecz na to, by dokonać trzeba nareszcie zapoznać się z tym, co w naszej własnej tradycji było samodzielną i trwałą zdobyczą, wydobyć istotną treść romantyzmu i nie utożsamiać go z samobójczą koncepcją, sfalszowaną na użytek bezkrytycznych półinteligentów.

Wypadałoby także przyjąć do wiadomości, że nawiązywanie do drobniomieszcząnskiego pozytywizmu jest typowym epigonizmem, po zującym na nowoczesność myślenia.

Teza ósma brzmi tak: „W płaszczyźnie zaś merytorycznej — najkategoryczniej odrzucamy sugestie, by wiara w ostateczne zwycięstwo chrześcijańskich wartości moralnych miała cokolwiek wspólnego z romantyzmem”.

Odpowiedź: Wiara w ostateczne zwycięstwo chrześcijańskich wartości moralnych doszła do głosu w pismach Krasińskiego i Mickiewicza, więc nie można gośłownie twierdzić, że nie miała ona nic wspólnego z romantyzmem, bo przecież temu cytaty, które w razie dalszej polemiki dosłownie tutaj przetoczę.

Fakt ten posiada dziś aktualność najwyższą, dlatego go przypominiam. Uważam, że niepodobna wyobrazić sobie mesjanizmu, bez idei katolickiego odrodzenia świata.

Artur Zatopiński



Dominik Horodyński

# Czas zająć się czymś innym

Artykuł ten nie jest polemiką z zamieszczonymi obok wywodami p. Zatopińskiego. Panu Zatopińskiemu mógłby odpowiedzieć tylko Wojciech Kętrzyński. Niestety jest on w tej chwili poważnie chory. Celem tych uwag jest krótkie wyjaśnienie stosunku do tradycji polskiego romantyzmu i pozytywizmu.

Pozwalam sobie na wstępnie przytoczyć in extenso przedmowę ze świeżo wydanej książki „Publicystyka Pozytywistyczna”. Jest to wybór artykułów publicystycznych z okresu pozytywizmu, który wyszedł nakładem Trzaski, Everta i Michałskiego, opracowany przez pp. Eugeniusza Śawrymowicza i Teofila Wojeńskiego, wydany w ramach „Biblioteki Autorów Polskich” redagowanej przez dra E. Łozińskiego, dra B. Suchodolskiego i dra T. Wojeńskiego.

W przedmowie czytamy:

„Wydając wybór z pism publicystycznych okresu pozytywizmu i przeznaczając go do użytku szkolnego jako lekturę pomocniczą wysłaliśmy z założenia, że zaznajomienie współczesnej młodzieży z problematyką okresu pozytywizmu leży na linii właściwego przygotowania młodego pokolenia do czekających go zadań. Trudno wprawdzie mówić o podobieństwie (we właściwym tego słowa znaczeniu) okresu pozytywizmu do czasów dzisiejszych wobec zasadniczej różnicy położenia politycznego i gospodarczego — tym niemniej można mówić o aktualności dla dnia dzisiejszego najważniejszych problemów pasjonujących pokolenie pozytywistów. Aktualnym, jakkolwiek w innym ujęciu, jest i dziś zasadniczy problem postawiony przez pozytywistów — problem roli uczucia i rozumu w ujmowaniu zjawisk życia zbiorowego i związku z tym oceny romantycznego stosunku do otaczającego świata. Bliski i nam dzisiaj, jakkolwiek znowu w innym ujęciu, jest charakterystycznym dla całej kultury okresu pozytywizmu realizm przejawiający się w ścisłym liczeniu się z możliwościami i uznawaniu życia gospodarczego za podstawę życia zbiorowego. Zrozumiałe i bliskie jest dla nas dziś również charakterystyczne dla pozytywistów poczucie odpowiedzialności za rzeczywistość, niechęć do zasłaniania i zakłamywania jej romantyczną fikcją; bliski jest też nam idealizm pozytywizmu wyrażający się nie w przeciwstawieniu ideałów rzeczywistości, ale w dążeniu do podniesienia społeczeństwa na wyższy poziom w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, w wysiłku doskonalenia form życia zbiorowego i stosunków międzyludzkich; bliska wreszcie ambicja kształtowania rzeczywistości otaczającej, a niechęć do bezpłodnej negacji romantycznej.

Podobnie też jak w okresie pozytywizmu, jakkolwiek z innych przyczyn i w innych warunkach politycznych, na naczelnym miejscu w życiu narodowym dzisiaj wysuwa się zadanie rozbudowy gospodarki, uprzemysłowienia kraju, podniesienia stopy życiowej u obywateli i poziomu powszechnej kultury.

Wreszcie aktualne i dziś, jakkolwiek w innej płaszczyźnie, jest podjęte przez pozytywizm zadanie przebudowy struktury społecznej i dostosowanie jej do charakteru i potrzeb zachodzących przeobrażeń gospodarczych.

Oczywiście, rozwiązanie tych problemów przez pozytywizm nie może nas zadowolić.

Procesy gospodarcze i społeczne, na które reakcją był pozytywizm uległy dalszej ewolucji, dla obecnej fazy ich rozwoju wiele z tych rozwiązań straciło swoją wartość. Tym niemniej dobre zapoznanie się z samymi problemami tego okresu i sposobami ich ujmowania może oddać cenne usługi do zadań dnia dzisiejszego. Położenie większego nacisku na problematykę pozytywizmu przy zapoznawaniu młodzieży z dziejami naszej myśli i naszej kultury jest jeszcze ważne i dlatego, że dorobek pozytywizmu w słabym tylko stopniu został przez nasze społeczeństwo przyswojony i wywarł na naszą umysłowość znacznie mniejszy wpływ niż na to zasługuje.

W porównaniu do okresu romantyzmu i neoromantyzmu jako panujący prąd trwał stosunkowo krótko, bo około 20 lat (1870 — 1890). Rozwijał się w warunkach politycznych niezwykle trudnych, jeżeli chodzi o ziemie tzw. Kongresówki, bodaj najeźszych w ciągu całego okresu niewoli narodowej. Te niezwykle ciężkie warunki związane z tragiczną klęską powstania styczniowego unie możliwiły pozytywizmowi właściwe podejście do zagadnienia narodowego, zmuszały do wyciszenia w tym czasie jego zainteresowań najważniejszych dla narodu w niewoli sprawy — odzyskania niepodległości, co w wybitnym stopniu przyczyniło się do jego niepopularności i krótkotrwałości. Trzeba również podkreślić wąski zasięg wpływów pozytywizmu. Wobec słabości, braku samodzielności oraz świadomości klasowej naszego mieszczaństwa ograniczały się te wpływy niemal wyłącznie do inteligencji zawodowej. Wszystkie te przyczyny sprawiły, że wpływ pozytywizmu jako prądu umysłowego w rozwoju naszej kultury nie był należycie doceniony.

W istocie pod względem znaczenia w rozwoju naszej kultury okres pozytywizmu może być przyrównany do najbardziej twórczych okresów w dziejach narodu, więc do rozkwitu humanizmu w XVI wieku i do jego renesansu w czasach stanisławowskich. Podobnie bowiem jak w dwu wymienionych momentach dziejów Polski widzimy w okresie pozytywizmu twórczy wysiłek społeczeństwa do przezwyciężenia zaniechań cywilizacyjnych w porównaniu do zachodu oraz gorączkową chęć odrobienia zaległości powstałych w ciągu dziesięcioleci zastoju. Dorobek pozytywizmu, jeżeli uwzględni się wymienione wyżej okoliczności, wśród których się rozwijał, jest istotnie imponujący i budzić musi szczerą podziw i szacunek.

Na dorobek ten, obok wartościowej literatury pięknej, oprócz wymienionej takimi nazwiskami jak: Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Adolf Dygasiński, Adam Asnyk, Maria Konopnicka, obok obfitego piśmiennictwa naukowego, popularyzującego zdobycze europejskiej wiedzy, złożyła się bogata i wartościowa publicystyka poruszająca w sposób umiejętny i żywy szereg problemów istotnych dla dalszego pomyślnego rozwoju życia narodowego. W rozwoju publicystyki polskiej okres pozytywizmu jest bardzo ważny ze względu na bogactwo i wagę poruszanych tematów, poprawność sił i uczciwość argumentacji, oraz żywą, a często i piękną formę wypowiedzi. Publicystyka po-

zytywizmu rozwija się w ogniu zażartej walki nowego poglądu na świat ze starym, cechuje ją pełna pasji żarliwość płynąca z głębokiego przekonania o słuszności bronionej sprawy. W szranki publicystyki wstępują w tym okresie wszyscy najwybitniejsi przedstawiciele ówczesnej literatury pięknej i naukowej. Dopiero w okresie pozytywizmu prasa nasza staje się poważnym czynnikiem kształtowania poglądów i roli społeczeństwa. Uderza nas przede wszystkim rozrost czasopiśmiennictwa i rozszerzenie się jego zasięgu i wpływów. Zarówno w stolicy jak i ośrodkach prowincjonalnych powstaje szereg nowych czasopism. Zwłaszcza licznymi, cennymi pozycjami wzbogaca się prasa stołeczna. Szereg pism zdobywa sobie poważny wpływ na opinię publiczną. Z pism tych należy wymienić najbardziej zasłużony „Przegląd Tygodniowy”, założony w roku 1866, dużym wpływem cieszyły się też: „Opiekun Domowy”, „Niwa”, „Nowiny”, „Prawda” Świętochowskiego, „Kultura”, a zwłaszcza miesięcznik „Ateneum” redagowany przez znakomitego historyka literatury Piotra Chmielowskiego, pod koniec zaś Ign. Chrząnowskiego. W tym czasie rozwija się również czasopiśmiennictwo poświęcone specjalnym gałęziom wiedzy, wychodzą pisma naukowe, jak redagowana przez Karłowicza „Wisła”, kwartalnik ludoznawczy, „Prace Filologiczne” A. Krasusińskiego i inne.

Wybór z bogatego materiału publicystycznego zawartego w czasopiśmiennictwie tego okresu nie jest łatwy. Wobec zniszczeń wojennych w naszych księgozbiorach nie jest łatwy i dostęp do tych materiałów. Nie chcąc zbyt nierozszerzać ram wypisów ograniczyliśmy się do czasopiśmiennictwa stołecznej, jako najbardziej wartościowego i typowego. W wyborze zamieszczonych artykułów pragniemy uwzględnić tematy najbardziej istotne i charakterystyczne, przy czym staraliśmy się dawać artykuły w całości, a przynajmniej we fragmentach stanowiących pewną zamkniętą całość.

Możliwe to było tylko przy artykułach krótszych lub rozbitych na rozdziały mające charakter odrębnej całości lub końcowej syntezy. Artykuły i rozprawy dłuższe z konieczności podajemy w wyjątkach, które jednak staraliśmy się tak wybrać, by oświetlały one w sposób jasny dane zagadnienie.

Dla wprowadzenia Czytelników w atmosferę epoki dajemy w charakterze wstępu fragment z pamiętnika Aleksandra Świętochowskiego, który jako ówczesny przewódca „młodych” atmosferę tę sam w dużym stopniu tworzył. Zamykamy wybór końcowym rozdziałem: „Najogólniejszych ideałów życiowych” Bolesława Prusa, który choć nieraz z racji swej niechęci do wszelkich krańcowości występował przeciwko „młodemu”, to jednak ideałom pozytyw-

wizmu pozostał wierny najdłużej, bo daleko poza datę zamknięcia okresu pozytywistycznego. „Najogólniejsze ideały życiowe” są właśnie wymownym tego dowodem.

Poglądy wyrażone w tej przedmowie odpowiadają moim poglądom i z radością witam fakt zatwierdzenia „Publicystyki Pozytywizmu” do użytku szkolnego jako lektury uzupełniającej. Nareszcie.

Tym stwierdzeniem dość daleko ustawiłem od pana Zatopińskiego i jego apodyktycznej opinii, że nawiązywanie do drobnomieszczańskiego pozytywizmu jest typowym epigonizmem, pozującym na nowoczesność myślenia. — Skądinąd urocze jest to przyjmowanie marksistowskiej nomenklatury. Uroczę i bardzo na miejscu. P. Zatopiński — wbrew temu co o sobie myśli — idzie tutaj ideowo w jednym szeregu z marksistami. Dziwne są polskie linie podziałów i słowo „ideowo” i „tutaj” bardzo w powyższym zdaniu jest potrzebne. Jakże bliski jest p. Zatopiński p. Jędrzychowskiemu w ocenie okresu okupacji i niezuważaniu przerostów konspiracji polskiej. Ale to uwaga nawiasowa.

Ideowo i w tej sprawie z marksistami się nie zgadzamy. Do obozu rządzącego odnosimy się rzeczowo. Literacka tradycja romantyczna jest najwspanialszą polską tradycją artystyczną i tylko człowiek a-kultu-ralny nie odczuwa potrzeby częstego kontaktu z wielkimi dziełami tej epoki. Ale jest to tradycja wyłącz- nie artystyczna.

Cytuję z artykułu p. Zatopińskiego słuszne zdanie o kulturze „istnieje ona, jak rzeczywistość współcześnie obecna, rozumiała jedynie w całości i w powiązaniu wzajemnym. Trzeba w niej widzieć hierarchię wiecznie młodych, zapładniających duchowo wartości”. Ten właśnie stosunek mamy do romantyzmu, ale żądamy go również do całej naszej przeszłości kulturalnej. W swej rozprawie „O jedności moralnej świata” prof. L. Halban przytacza pouczenie Tszing-Tonga z roku 1766 przed narodzeniem Chr.: „Najdostojniejszy Szank-Ti (tzn. Najwyższy Pan, określenie Boga) obdarzył człowieka naturalnym rozsądkiem. Jeżeli człowiek postępuje zgodnie z nim to jego istota będzie trwała...”

Cnota rozważa nie była pospolitą cnotą u romantyków i grzeszyli oni często przeciw Duchowi Św. Skłonność do tego grzechu, nigdy w dziejach nie groziła takimi skutkami katastrofy cnoty jak obecnie.

Z wywodów p. Zatopińskiego wynika, że nie chodzi mu o romantyzm, jako zjawisko kulturalne, czy prąd literacki, a bardziej o znaczenie tego kierunku, jako czynnika budzącego patriotyzm. Cytuję: „...romantyzm był przez 150 lat polskiej niewoli ważnym elementem suwerenności narodowej. Ten kierunek stał się organem twórczej samowiedzy...”

P. Zatopiński stawia więc niemal znak równości między romantyzmem a patriotyzmem. Sądzę, że tego typu mieszanie zagadnień jest wysoce szkodliwe, a propagowany przez p. Zatopińskiego typ konkretyzacji patriotyzmu najdalszym od wymogów współczesności.

Tutaj trochę truizmów.

Dwie zasadnicze przyczyny wywołały rewolucję, przez którą z uczuciem straszliwej niepewności przechodzi świat współczesny. Pierwszą

## W świetle...

ROZMOWY W MOSKWIE

ROZMOWY w Moskwie pomiędzy przedstawicielami państw zachodnich, a min. Mołotowem toczą się nadal, w atmosferze dość niezwykłej, jak na wydarzenia polityczne tego rodzaju. Otacza je tajemnica pozwalająca jednak zorientować się w ich niecodziennej częstotliwości i intensywności. Z drugiej jednak strony gen. Clay w Niemczech nie tylko publicznie oświadcza, iż nie ma jeszcze żadnych dyrektyw odnośnie zmiany swej polityki niemieckiej — co wydaje się warunkiem sine qua non dojsca do skutku zasadniczych rokowań — ale we Frankfurcie nad Menem organizowany jest zjazd trzech gubernatorów: Amerykanina, Anglika i Francuza, którego opublikowane uchwały acz same w sobie treści raczej politycznie objętej niedwuznacznie wskazują na utworzenie państwa zachodnio-niemieckiego. Dla Kremla zrezygnowanie z tego rodzaju tworu politycznego jest pierwszym warunkiem podjęcia dalszych rozmów nad rozwiązaniem sprawy niemieckiej.

Jednocześnie prasa zachodnia raczej sceptycznie patrzyła się na wyniki rokowań, a prasa radziecka zachowywała dużą powściągliwość. Wydawało się, że trudno będzie Anglosasom przyjąć jako nieodzowny warunek rokowań rezygnację z własnej koncepcji politycznej organizowania Niemiec, gdyż łączy się ona przecież z całym ogólnoswiatowym systemem politycznym. A z drugiej strony nie należy sądzić, by ZSRR będące w tej chwili w korzystnej politycznie sytuacji potrzebowało zrezygnować ze swej myśli politycznej.

W PALESTYNIE — ZŁE!

BERNADOTTE — rozjemca z ramienia Rady Bezpieczeństwa — oświadczył w liście do Rady, iż sytuacja, mimo oficjalnego zawieszenia broni staje się z dniem każdym bardziej naprężona. Lokalne walki wybuchają raz po raz, toczą się nawet na terenie samej Jerozolimy. Arabowie przed niedawnym czasem wysadzili w powietrze stację pomp w Latrum zaopatrującą w wodę Jerozolimę. Rada Bezpieczeństwa ogłosiła, iż w razie dalszego negowania przez obie strony jej autorytetu przystąpi do akcji sankcji gospodarczych, politycznych, a nawet militarnych.

W FINLANDJI

W rezultacie wyborów utworzył się w Finlandii rząd centrolewy, nie obejmujący partii Frontu Narodowo-Demokratycznego, w tym partii komunistycznej. Nowy rząd premiera Fagerholma stał się obiektem niestychania silnych ataków Frontu Narodowo-Demokratycznego, zarzucających, że pragnie on zmienić politykę przyjaźni na politykę wrogości wobec ZSRR. Postawa polityczna członków Frontu wyrażająca się szeregiem ostrych manifestacji może stać się powodem nowego kryzysu politycznego.

CZERWONE KRZYŻE

CZERWONE Krzyże Polski, Czechosłowacji i Bułgarii odmówiły udziału w międzynarodowej konferencji Czerwonych Krzyży w Sztokholmie, jako protest przeciwko zaproszeniu na tę konferencję Czerwonego Krzyża Hiszpańskiego, reprezentanta reżimu gen. Franco. To bardzo smutne, iż nawet do instytucji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wdarała się polityka, czyniąc z tej wzniosłej idei arenę demonstracji swych politycznych i światopoglądowych sympatii i antypatii.

## KSIEŻA MARIANIE

Zgromadzenie Apostolskie, służące chwale Bożej i czci Niepokalanej przyjmujące

KANDYDATÓW DO KAPŁANSTWA

nie wyłączając spóźnionych wiekiem, do klas gimnaz. i licealnych. Posiadający maturę gimnazjalną lub licealną mogą zgłosić się do nowiciatu

Warszawa, ul. Wileńska 69.



jest rozwój techniki. W epoce energii atomowej obowiązują dyscyplina, rozsądek i zwielokrotnione poczucie odpowiedzialności za każdy czyn. Trudno znaleźć miejsce na romantyczne wizje zamków na lodzie przy równoczesnej negacji i braku poczucia odpowiedzialności za rzeczywistość istniejącą. Tu znów można by dla p. Zatońskiego znaleźć pewne analogie.

Drugą przyczyną kryzysu jest dojście do świadomości kulturalnej najszerzych mas ludzkich, jest rewolucja społeczna przy równoczesnym gwałtownym wzroście zaludnienia. Jak straszliwie skomplikowanym staje się życie organizmów społecznych! I tylko człowiek społeczny jest w tym okresie przejściowym jednostką pozytywną. Co zrobić z romantycznym egocentryzmem? — Można za nim w wolnych chwilach zateńnić, ale apostołować nie należy, chyba, że się chce być do końca konsekwentnym w nieodpowiedzialności.

I jeszcze jedno. P. Zatoński

go mierzi nawiązywanie — które nam imputuje — do tradycji drobno-nomieszczańskiej. Niestety tzw. z marksistowska „drobno-nomieszczaństwo” nie jest największym polskim niebezpieczeństwem. Zakrywają się szyldem romantyzmu i pasą się na nim dwie tradycyjne wady Polaków: mętność umysłowa i szlachetczyzna. Szlachetczyzną — w tej chwili bardziej niebezpieczną niż śmieszna czy obrzydliwa — zaraziły się absolutnie wszystkie warstwy polskiego społeczeństwa z elementami pochodzenia obcymi włącznie. Nieraz rozmawiając z komunistą polskim zamykam oczy i wydam się, że siedzi przede mną pod gołony osobnik w kontuszu z karabelą przy boku. Czy p. Zatońskiemu to się więcej podoba od drobno-nomieszczaństwa?

Nie tylko mnie mogą okrzyknąć z prawa i lewa mianem neo-pozytywisty, określeniu temu nadano przy tym sens pogardliwego epitetu. Na ten sam wyrok zarobili: Go

cheński, Gołubiew, Jasienica, Kętrzyński, Koźniewski, Malewska, Osmańczyk, Stomma i wielu innych. Napewno nie są to neouzożywiści. Są to wszystko forpocząty ruchu, który nie znalazł sobie jeszcze pełnego wyrazu, nie znalazł sobie jeszcze nazwy. Ale prędzej czy później nazwy się doczeka.

Tymi uwagami chciałbym zamknąć temat, który niepotrzebnie przez zbyt długi okres wywoływał wiele nieporozumień.

Zołnierze Września, Podziemia i Powstania od trzech lat z uporem budujący Polskę w Polsce od nikogo nie potrzebują się uczyć postawy romantycznej. Ale jeśli ich straszliwie doświadczenia i wysiłki mają mieć sens społeczny, jeśli mają coś naprawdę poważnemu służyć i coś zbudować, jeśli to pokolenie nie ma być tylko tragiczne ale i wielkie, musi stale pamiętać o dwóch słowach: odpowiedzialność i rozważa.

Dominik Horodyński

## Wojciech Lipniacki

100 m.

Muzyczne klucze młodych ciał pod arkadami kroków warki czas,  
wplecione w pięciolinię biegu nogi jak płomień bijący z głębi,  
nieprześpiewanej przestrzeni kształt i złotych ramion rytmiczny blask  
otwierają iskrami sekund. niby skrzydlata girlanda się kłębi;  
wiosłują stopy wpływ przez pieśń,  
kipi szybkość rozpalona do białości;  
już tylko dłonie nad zachwyty  
wzniesie  
i piersią o rekord się otrzeć.

# Nabyć, czytać, nie czytać?...

## KSIAZKA O MODLITWIE PAŃSKIEJ I POZDROWIENIU ANIELSKIM

Ks. dr Franciszek Bogdan PSM: „Ojciec Nasz”, wydawnictwo Księży Pallotynów, Ołtarzew k. Warszawy, 1947 r., str. 204.

Ks. dr Franciszek Bogdan PSM: „Zdrowaś Maryjo”, wydawnictwo Księży Pallotynów, Ołtarzew k. Warszawy, 1947 r., str. 169.

„Wiekowe powtarzanie, mechaniczne powtarzanie warg i języka. powtarzanie tysiącletnie, formalne, obrzędowe, nieuważne, obojętne. zrobiło z niej (Modlitwy Pańskiej) jak gdyby naszyjnik zgósek, z których uleciała treść pierwotna i zrozumiała” — mówi Papini w „Dziejach Chrystusa”. Istotnie, w codziennym, formalnym, machinalnym nęjką powtarzaniu Modlitwy Pańskiej zapominamy o jej wspaniałej treści, o jej boskim ciężarze gatunkowym. A jeśli od czasu do czasu zagłębimy się nieco nad słowami, którymi Chrystus kazał nam się modlić, to i tak ogarniamy zwykle tylko ubomek tego, co się w tej Modlitwie kryje. Co gorzej, iluz katolików, iluz chrześcijan ma bardzo niejasne pojęcie o znaczeniu poszczególnej części Modlitwy, jak choćby prośby zawartej w słowach „Święć się Imię Twoje”. To też dobrze się stało, że pojawiła się u nas książka, która — jak autor stwierdza na wstępie — „będąc syntezą tego, co o Modlitwie Pańskiej powiedzieli wielki, ma na celu wprowadzić Czytelnika w jej ducha i w zrozumienie jej treści”. Ks. dr Franciszek Bogdan, Pallotyn, Duszpasterz Akademicki w Gdańsku i rektor Instytutu Wyższej Kultury Religijnej w Gdańsku, zadał sobie wiele trudu, by zebrać, usystematyzować, zaopatrzyć komentarzem wypowiedzi największych Doktorów Świętych Kościoła, a także pisa-

rzy i uczonych katolickich dotyczące Modlitwy Pańskiej. Erudycja autora jest podziwu godna — nie darmo mówi się o Pallotynach jako o zakonie intelektualistów. Autor nie ogranicza się do komentowania zebranego materiału, ale daje nam w tej pracy wiele z siebie samego z własnych przemyśleń i refleksji. Poszczególne rozdziały książki noszą tytuły: „Ojciec”, „Ojciec Nasz”, „Który jesteś w niebie” itd., bo też i są omówieniem treści, zawartej w tych wezwaniach, czy prośbach. Praca ks. Bogdana jest szczególnie cenna dla duchowieństwa, dla którego zapewne została głównie przeznaczona; jakże pomocna będzie ona w przygotowywaniu kazań. Nie ma tu materiału da księdom, którzy będą mówić wiernym o Modlitwie Pańskiej. Dla świeckich jest to praca o tyle może niedogodna, że zawiera mnóstwo cytów i przypisów, jednakże czytelnik o pewnym zamiłowaniu do lektury religijnej na pewno się tej przeszkody nie przerazi. Szkoda tylko, że książka nie jest napisana językiem bardziej literacko wyrobionym — przydałoby się jej pewna świeżość porównań, pewien umiar w stosowaniu słów wielkich.

Podobny charakter ma druga książka ks. dr Bogdana pt. „Zdrowaś Maryjo”, która jest niejako dopełnieniem pracy pt. „Ojciec Nasz”, tak jak w naszym paście codziennym modlitwa do Matki Boskiej dopełnia Modlitwę Pańską. Obie te książki powinny się znaleźć na półce każdego duchownego, a i dla niejednego katolika świeckiego stanowić będą pomost do głębszego zrozumienia i ukochania codziennej modlitwy.

W. Wnuk

## JURIJ KRYMOW: STATEK „DERBENT”, SP. WYD. „KSIAZKA”, W-WA 1948, STR. 298 (TL. M. KERCZYŃSKA)

Książka Krymowa przedstawia wycinek z życia sowieckiego społeczeństwa, a określając dokładniej: z życia ludzi, pracujących przy transporcie ropy naftowej na terenie Morza Kaspijskiego i w nadbrzeżnych biurach portowej obsługi. W prosty, bezpretensjonalny sposób przedstawiony jest tu świat pracy, trudów, żmudnej atmosfery dnia codziennego. Codziennosc i zwykłość nabierają jednak żywszych barw, sytuacja zaczyna się komplikować i pogłębiać, gdy życie wzbogaciło się o jeden czynnik: ideę stachanowskiego wyścigu pracy.

Oczywiście, cała dynamika tych problemów dnia zlokalizowana jest w przeżyciach ludzi, największym więc zadaniem literackim autora było przedstawienie człowieka z całym jego trudnym i złożonym aparatem psychicznym, wmontowanie tego człowieka w schemat ideologiczny książki. W tym celu trzeba było pokazać psychologię pracy, psychologię współzawodnictwa.

Autor przeprowadził swój pro-

gram konsekwentnie i z dużym powodzeniem. Na pokładzie mało sympatycznego statku „Derbent” zgromadził ludzi o różnych uособnościach, zainteresowaniach, różnej skali i jakości przeżyć. Odizolowany od świata statek stał się jakąś kadzią fermentacyjną przeróżnych antagonizmów, niewyeksplloatowanych ambicji, chykiem przemycanego wygodnictwa... Ze z tej mieszaniny najsilniejszym okazał się zacyz ideowego, ofiarnego oddania pracy, pracy gromadnej, społecznej — to już sprawa nie tylko łatwości i niezawodności chemicznych reakcji, ale i świadomego, entuzjastycznego trudu autorskiego. Staral się autor uwarunkować, psychologicznie uzasadnić wszystkie pionierskie posunięcia swych bohaterów, by po ludzku były zrozumiałe. Stosunek autora do losów ludzi kreowanych, wiara w nich, radość, że tacy prości i zwykli, a potrafia wiele nie dla egoistycznych celów osiągnąć — budzi w czytelniku sympatię.

H. K.

KSIAZKA LEOPOLDA TYRMANA „HOTEL ANSGAR” (Ks. Zdzisława Gustowskiego, Poznań, 1948), czytałem z rosnącym zaciekawieniem — i irytacją. Tak niewiele brakowałoby właściwie do zaliczenia jej do pierwszej klasy powojennej literatury autobiograficzno-konspiracyjno-awanturycznej. Ale to niewiele, to jednak dosyć dużo. Chodzi o rzemiosło, sztukę pisarską.

Książka jest napisana moim zdaniem zbyt po dziennikarsku. Nie wyszło to jej na zdrowie. Nic nie stoi na przeszkodzie aby dziennikarz napisał znakomitą książkę, lecz do przy książkowej służy się kryteria znacznie wyższego rzędu, niż do dziennikarskiej.

Odpowiedzialność za błędy ponosi nie tylko korekta („czy nie ma w noim fachu na listy”, str. 125). Obciążam autora pokutującym w dziennikarstwie brakiem oszlifowania stylu tak np.:

„przygotowanie profesjonalne nie da wało mu prawa brania perspektywy” „pokładowej pracy optymistycznej”.

„nie to aby wykwiłt tego lokalu...” „wypełnił formularze i podał nam dwa statki”.

„była to malutka ciupka sformowana ze stalowej podłogi i sufitu” „moczył mnie tłuśną od płam portowego basenu wodą”.

„przez ładne kilka miesięcy”.

Leopold Tyrmand jest niewątpliwie człowiekiem oczytanym. Ale opisanie tego odczytania wzbudza wiele wątpliwości. Dlaczego zamiast Francuz, pisać — ziomek Św. Ludwika, zamiast Norweg — potomek Vikingów, ziomek Griega, zamiast Norwegia — na ziemi Ibsena, ojczyzna Sonii Henie, a po tym jeszcze gorzej — synowie mgli stęgo Albionu i wreszcie najgorzej — „gród Giedymina”.

„Cholera go wie — odparł stylen Rabelais”, od kiedy to ta choroba charakterystyka stylu tego pisarza?

W erudycji i opisach wydaje mi się widzieć potknięcia, których by autor łatwo uniknął, mając na względzie, że pisze książkę, a nie artykuł — a numer już, już idzie do lamania.

I tak spotykamy w „Hotelu Ansgar” książki filozofów materialistów Karola Marxa i „pani Ludendorff, angielskiego Hotchkissa (jest to nazwa broni maszynowej, francuskiej), Haldy węgla w porcie (jest ich dużo przy kopalniach i hutach, ale skąd by się wzięły w portach?). Samolot wyrzuca torpedę z odległości „najwyżej” dwudziestu metrów od statku (co jest techniczną niemożliwością).

diamenty Hispanioli (wśród drogich kamieni, pochodzących z hiszpańskich posiadłości w Ameryce i na archipelagach, były różne, ale nie było właśnie diamantów).

Wśród przygód wojennych Leopolda Tyrmanda znajdują się zapewne tematy do paru jeszcze książek w tym rodzaju, to jest opowiadań, w których humor i wrażliwość utrzymane są w tonacji, pełnej subtelnych półcieni, a akcja usprawiedliwia żal, że książka ma się już ku końcowi. Zdaje mi się, że Tyrmand jest pod wpływem nowoczesnej literatury amerykańskiej. Jeżeli się nie mylę, to jest właściwa dla

niego droga dla rozwoju talentu, który może go zaprowadzić dalej niż rasowym reportaż lub zręczne narratorswo. Grafikowi gratulacje za doskonałą okładkę „Hotel Ansgar”.

Jan Meyszłowicz

Trudno nie zgodzić się z zamieszczoną obok krytyką książki Tyrmanda. Meyszłowicz ma rację zarówno wówczas, gdy domaga się od autora większej dbałości o język, jak i wtedy, kiedy wytyka jego potknięcia erudycyjne. Ma rację tym więcej, że Tyrmand tylko częściowo ponosi osobistą winę za te błędy. Jest on raczej jednym z przykładów niedomagań dużej części naszej publicystyki. Niestety większość dziennikarzy na tę samą, co autor „Hotelu Ansgar” chorobę zapada — a później przykro i trochę wstyd.

Ze swej strony muszę przecież podkreślić to, co w sąsiednich rozważaniach zaginęło. Książka Tyrmanda jest naprawdę ciekawa. I to nie tylko dzięki bujności akcji i bogactwu przeżyć autora. Tyrmand umie ułożyć materiał literacki. Umie skomponować nowelę. A to nie jest mało. Myślę, że zadatki talentu literackiego po tej między innymi zdolności się poznaje.

Szkoda przecież, że czasami „Hotel Ansgar” jest zbyt fantastyczny. Ostatecznie wolno pisarzowi tworzyć baśnie „1001 nocy”, ale wówczas niech nie ma pretensji do realizmu. Kiedy zaś wchodzi na tę drogę, niech nie przekonuje czytelnika, że tak sprytnie i po prostu podsłuchiwał telefony w Gestapo, które do tego, usłużnie opowiadało o tym, co właśnie obchodziło konspiracyjatorów. I tak mu nie uwierzymy. Nawet w powieści sensacyjnej obowiązuje umiar.

I jeszcze jedno. Omawiana książka mogłaby stać się wcale interesującą lekturą dla młodzieży. Zdrowa (zasadniczo) tendencja, egzotyzm przygód, żywość akcji i przejrzysta kompozycja predestynują ją w tym kierunku. Czemu jednak w swe opowiadania włożył autor tyle wątpliwej wartości erotyzmu. Artystycznie bynajmniej nie jest to uzasadnione. Wiem, że marynarze, to nie towarzystwo „Trzeźwość”, ale mówię: w realizm opowiadań i tak nikt nie uwierzy. Lepiej było pójść po linii czystej sensacji fantastycznej, ale już wówczas pozabijać elementów zbędnych. Wówczas miałoby się możliwość dostarczenia młodemu czytelnikowi dobrej lektury. A tak — szkoda.

M. Ku.

Marcin Andersen Nexø: DITTA. Sp. Wyd. „Książka”, W-wa 1948, 2 tomy (tl. J. Mondschein).

„Ditta” to śliczna opowieść o dobrym, a jednocześnie krzywdzonym sercu. Książka zawiera ogromny materiał treściowy. rozpatrywać ją można z wielu punktów widzenia: społecznego, psychologicznego, obyczajowego. Jednak urok jej największy, niezwykły, niezatarty żadną analizą wyrasta właśnie z uśmiechu dobroci, z ciepła serdeczności z ogromu ofiarności jednej ludzkiej istoty.

Opowieść przedstawiająca w przebiegu akcji losy życia biedaków duńskich (w okresie jeszcze przed przemianami, oddającymi człowiekowi pracy należne mu miejsce), opowieść pełna tragizmu, krzywdy, bezsilności nie jest w swym ostatecznym wyrazie pesymistyczna. Bo takie przedstawia bogactwo uczucia, bo znajduje sens trwalszy niż śmierć i większy niż zło w szczerej najwzajemnej radości, w zagubionych wśród zagmatwania stosunków ludzkich momentach dobroci i współczucia. Cała „Ditta” prześwietlana jest uśmiechem przez ły.

„Ditta” to imię dziewczyny, bohaterki powieści. Przedziwna jest samorodność jej stosunku do ludzi. Zastanawia jej poczucie odpowiedzialności za każde spotkanie cierpienie, jej wrażliwość i wielka gotowość w niesieniu pomocy, wielka umiejętność poprzestawania na małym, umiejętność radowania się niejako sobą samą, sierocym dzieciństwem, osamotnieniem wśród pustki morskiego pobrzeża jej wiara w świat, który nie dał jej nic dobrego, skrzywdził i odrzucił...

„Ditta” jest napisana tak, że cały jej świat — ludzi, krajobrazy, sytuacje — przeżywa się mocno i na długi zapisuje w pamięci. Są one jak wspomnienia własnego dzieciństwa, nieco wyolbrzymione, ale wyraziste i skryte w nas głęboko. Ta sugestywność książki to efekt różnych, nawet sprzecznych ze sobą walorów. Tok narracyjny, refleksje autorskie, długie tytuły rozdziałów nadają książce charakter opowieści, wprowadzają nawet lekkie posmak nierałości. Wrażenie to potęgają inne rysy, jak niezwykłość z bajki chyba wyczarowanego domku miłych staruszków w osiedlu rybackim, jak nieprawdopodobna wprost łatwość zbliżenia ludzi z odległych od siebie sfer kulturalnych (Lars Piotr i Vangowie) itp. Z drugiej strony „Ditta” jest bardzo prawdziwa. Mnóstwo tu przeróżnych postaci, ale każda ich cecha charakterystyczna uzasadniona, każda zmiana tłumaczy się kontekstem wydarzeń i warunków zewnętrznych. Dzięki temu mniej może razi zbyt filmowa wielość opisywanych zjawisk.

A całość uczy głębokiego wejrzenia w życie, w ludzi nas otaczających. Wzrusza prostotą i siłą uczucia.

H. K.

## Czytanie

## „SŁOWO Powszechne”



Zygmunt Lichniak

## LISTY ZWĄTPIENIA I ODZYSKANEJ WIARY\*)

Literatura powojenna walczy z wojną, usiłuje ją przezwyciężyć w człowieku, rozwikłać labirynt splątanych mrocznym pięciolciami problemów, znaleźć w pokonaniu, w przezwyciężeniu zarażeń wojennych — pokój. Nie może w tej walce omijać grozy wojennej, nie może operować łatwymi tytułami ogólnikami, musi patrzeć w twarz zbrodniczej przeszłości, musi stać na gruncie rzeczowej, gruntownej analizy faktów.

Jednym z najgłośniejszych oskarżających człowieka faktów, jest drut kolczasty Dachau, „stacje doświadczalne” Stutthofu, kominy krematoryjne Oświęcimia, Treblinki, Majdanka, problem „człowieka - numeru”, problem obozu koncentracyjnego. Wokół tego problemu skupiła się już dosyć bogata literatura. Nie mógł go ominąć prawnik, aby nie rozwiązać na gruncie Jurystyki kwestii ludobójstwa (Sawicki), nie mógł go ominąć historyk, aby nie zebrał materiałów do dzieł najciemniejszego okresu (Dunin - Wąsowicz), nie mogli go ominąć ludzie, aby nie wyrazić przerażenia, bólu i zwątpienia w siłę prawa przed przemocą. Problem obozu narzucał się jako problem węzłowy, problem, który trzeba rozwiązać, aby żyć, aby wierzyć w człowieka.

Nie mogła o nim nie mówić literatura. Na niej spoczęło najważniejsze zadanie. Prawnicy rozstrzygali zagadnienie teoretycznie, historycy ograniczyli się do stworzenia archiwów grozy obozowej, zwykli ludzie — więźniowie nie mogli wyjść poza okrutną relację faktów. Trud komentarza, trud powtórnego przeżycia, trud rozwikłania wymowy tych faktów, przełamania ich z języka beznadziej i przerażenia na język wiary i siły, stał się zadaniem artysty — pisarza, człowieka — pisarza. Nie wszyscy ten trud mogą podjąć, a podjąwszy — nie wszyscy go mogą przezwyciężyć. Żyjemy w okresie prób. Obserwujemy zmagania wielkich talentów z wielkim problemem.

Zofia Nałkowska w swoich wspaniałych „Medalionach” wydobyla z okropności wojennych, z tragedii obozowych pierwszą wielką prawdę: „Ludzie, ludziom zgotowali ten los”. Ta negatywna afirmacja wspólnoty, ciężkiego braterstwa, jest podwaliną budowy nowej wiary w człowieka. Jakiej budowy?

Tadeusz Borowski w swoim „Pożegnaniu z Marią”, rzuca potężnym głosem hasło — arcychrześcijańskie zresztą — nienawiści do zła. Nie wychodzi jeszcze z kręgu negacji. Mówi, czego nie powinno być, a nie wie jaki jest pozytywny, jedynie konstruktywny, pion budowy. Próby trwają.

W książkach t.zw. „literatury obozowej”, musimy doszukiwać się uwieńczenia tych prób pomyslnym skutkiem. Musimy znaleźć drogę do przyszłości, w której jest miejsce dla wszystkich ludzi, wśród nich i — dla winowajców. I nie może to być droga wskazana patetycznie teatralnym gestem jakiegoś aktora, zgrzywającego się w roli pisarza, pośpiesznie udzielającego ludzkości rozgrzeszenia. Musi to być droga utworzona twórczym trudem wewnętrznej walki, a sprawdzian zwycięstwa musimy znaleźć w prawdzie moralnej i psychologicznej, w prawdzie artystycznej dzieła. Dzieło musi nas przekonać, że jego twórca do takiej drogi doszedł, a tym samym że ludzkość na taką drogę może wkro-

żyć. Bez tej przekonującej wymowy dzieła na nic jego wskazówki.

Taką wymową — mimo niewątpliwych braków — obdarzone są dwie książeczki Gustawa Morcinka.

Nazwałem je w tytule listami zwątpienia i odzyskanej wiary. Tytuł ten uwyraźnia i trochę może — dla wyrazistości — przejawia problem, który u Morcinka naszkicowany jest subtelniej i wnikliwiej. Meritum sprawy jednak nie zmienia. Książki Morcinka, zawarte w luźnej formie listów, przedstawiają niepokój człowieka ogłuszonego wojną, zwątpienie człowieka w ład, sens i porządek świata, zachwiany nieprawdopodobną, godzącą chyba w plan boski ilością zła. Zmęczony, rozgoryczony człowiek po wydobyciu się z piekła Sachsenhausen i Dachau, siedzi samotny pod morwą, wspomina i w nowym życiu, w życiu z gorzką prawdą o ludziach, którzy żarli ludzi, którzy mordowali, palili i plugawili godność ludzką, musi znaleźć nowy sens, nową mądrość, nową siłę, aby żyć, aby nadal w człowieku móc wierzyć... Szuka. Znajduje.

Gdzie?

W głębszym, mądrzejszym, dojrzalszym zrozumieniu i ukochaniu Boga.

Znowu zastrzeżenie: uogólniam, streszczam tylko — upraszczając w streszczeniu — to, co przeżył i stworzył Morcinek. Ale i tu nie zmienia meritum sprawy. Morcinek przeżył powrót, a raczej nocą odbył drogę do nowego świata, w którym z pamięcią zbrodni można żyć dzięki Bogu i Jego miłości. Morcinek stworzył dzieło obrazujące narodziny nowej wiary, wydał metrykę nowemu, powojennemu człowiekowi, który potrafi nie zapominać o zbrodni, zapomnieć o zbrodniarzu, nie wybaczać zbrodni, wybaczyć mordercy. Pozornie — paradoks. W istocie — jedyna chyba droga wyjścia z labiryntu pięciu mrocznych lat. W tym, co pisze Morcinek jest prawda przeżycia. Ta prawda skłania do wędrówki jego drogą. Ta prawda sprawa, że to, co uważano za frazes rozpłomienionych oratorskimi ogniami kaznodziejów, znów nabrało znaczenia niezbędnych, najprostszych, jedynych przykazania.

„Listy spod morwy” i „Listy z mojego Rzymu”, gdyby je opatrzył komentarzami teolog, psycholog i filozof, stałyby się jednym z najpotężniejszych w naszej powojennej literaturze dzieł przezwyciężających wojnę. Ale i bez tego komentarza są jednym z najpiękniejszych dokumentów zwycięskiej walki człowieka niezłomnego wojną o uratowanie w sobie Boga, a przez Boga — wiary w ludzi.

Historia tej walki napisana została tak przekonująco, z tak głęboką prawdą psychologiczną, z tak dokładnym przedstawieniem gradacji nastrojów, z tak subtelnym wniknięciem w najintymniejsze stany wewnętrzne, że ma niemal obiektywną wymowę, że broni się swoją prawdziwością psychologiczną przed zarzutami, jakie mogłyby jej stawiać antyfałszyści.

Jeszcze raz obwarowawszy się zastrzeżeniem, że w relacji nie oddajemy pełnej prawdy dzieła, warto wskazać na niezwykłą subtelność jego przedstawień, na umiejętność łączenia ogniw psychologicznych.

Na początku — zaraz po zwolnieniu — było zmęczenie i niechęć do ludzi, ucieczka w apatię.

...do swego kotka czuję więcej przywiązania, aniżeli do ludzi koło mnie w Bioiers. Ludzie ci mają dużo śmiesznych, czy ujemnych cech, rażą mnie czasem ich cudaczne nawyki, pretensje do tego, czego nie posiadają, ich nienaturalność, udawanie i tak dalej. Można by tych ujemnych cech naliczyć

sporo. Lecz nie chce mi się. Tak samo, jak nie chce mi się bronić ich w moich własnych oczach. Wiem - ci ja dobrze, że posiadają dużo pięknych przymiotów, lecz nie chce mi się ich wyłuskiwać z tamtych słabostek, czy śmieszności. Po prostu nie chce mi się. Jestem za leniwy. Wystarczy mi, iż wiem o nich. A jakie one, jak je zdefiniować — trudno mi się zdobyć na taki wysiłek. Dlatego też w takich chwilach lubię przebywać ze swoim kotkiem. Kotek jest ogromnie prosty...”

Ale stan apatii mija. „Cisza niepokoi mnie co raz bardziej”. Niepokoją wspomnienia. Pełno ich w każdym liście, w każdym słowie, w każdej myśli. Naciskały potwornymi obrazami, makabrą, męczyły pozostałościami „Stachelkrankheit”. Trzeba było szukać wyjścia z „więzienia wspomnień”, nie uciec przed nimi, bo to tchórzostwo, ale przezwyciężyć je, w znaczyć im jakąś konstruktywną rolę w nowym życiu. Bo tęsknota do tego nowego życia budzi się co raz wyraźniej, co raz wyraźniej budzi się „pragnienie wyczuwania w sobie i koło siebie wolności, głód spotkania innych ludzi, nadzieja, że znajdę to, co zgubiłem w sobie podczas tamtych sześciu lat w obozie koncentracyjnym” (podkreślenie — Z.L.).

Wyjazd do Rzymu. A w Rzymie? Po prostu zwiedzam kościoły... Wędruję od kościoła do kościoła i szukam Boga. W obozie nie mogłem Go dostrzec poprzez tamte zwały trupów i szkieletów, poprzez nędzę ludzką, wspaniewieranie godności ludzkiej; nie mogłem Go słyszeć poprzez charkot moich współtowarzyszy, konających w błocie czy w śniegu, pod ścianami baraków, w barłogach, i nie mogłem Go słyszeć poprzez krzyki i urągania rozbestwionego człowieka; zagubił mi się w sinych dymach, bijących z kominów krematoriów, zagubił mi się w oparach krwi, w smrodzie gnijących żywych ciał ludzkich, w tym tłumie owrodzonych Jobów, w przekleństwie żywota ludzkiego. Usiłuję Go odnaleźć w Rzymie wśród wysokich

kolumn marmurowych, wśród złoceni na barokowych stropach kościelnych, wśród rozrzuconego bogactwa i skamieniałej puchy ludzkiej, wśród mitr, koron i tiar wyrzeczanych w kamieniu...

A odnalazł Go w sobie, w Miłości... I na ostatniej stronie książki, nie jako w ostatnich słowach spowiedzi, może wyznać:

„Trzeba było tylu lat wojny i tylu lat patrzenia w zgnie ślepią śmierci w obozie koncentracyjnym, by nareszcie, nareszcie przejrzeć, jak ów ślepiec bibliiny, któremu Pan pomazał oczy sianą, a on przejrzał i wielbił Go. I nie zgadzam się z tym... że za dużo było krzywd, których nikt nigdy nie obejmie... Bez tych krzywd nie byłoby tego zdumiewającego patosu miłości i ofiary, właśnie w tych krzywdach widzimy owe „Gesta Dei per homines”. Znajdują przecież potwierdzenie tej myśli w wielkosobotnim hymnie liturgicznym: „O beata felix culpa”.

To nie jest łatwe wyznanie. W ustach człowieka, który przeżył sześć lat piekła obozu — to nakaz. „Gdzie spojrzysz z kopuły świętego Piotra, wszędzie widzisz drogi, wiodące na skraj świata, a drogami idącą miłość...”

To nie jest łatwy nakaz. Ale, gdy człowiek, który przeżył sześć lat piekła obozu, mówi, że „po jednej z tych licznych dróg wypada mnie już niezadługo wędrować”, to nakaz, którego nie można ominąć milczeniem.

Miną czasy, kiedy przezwyciężenie wojny Miłością uchodzi za frazes. W nas, katolikach, muszą one przeminąć jak najprędzej. I do tego zmuszają dwie książeczki Morcinka. W tym ich najgłębszy „sensus catholicus”, w tym wielka, apostołska zasługa.

„Listy spod morwy” i „Listy z mojego Rzymu”, stanowią dokument realnego, pełnego zwycięstwa ducha chrześcijańskiego nad światem nocy i zła, nad potęgą drutu kolczastego i uzbrojonej w narzędzie zbrodni pięści. I o tej wartości nie można zapomnieć.

\*\*

Mieczysław Markowski

## MYŚLI O OPERZE

Wiele już razy podejmowano, u nas i gdzie indziej, dyskusję na temat, który można by zamknąć w pytaniu: czy opera jest przeżytkiem? Dyskusje były bardzo żarte, przeciwnicy zaciętrzewieni.

Dla jednych sam fakt iż ktoś formułuje takie pytanie wołał o pomstę do nieba, pachniał na miłe skandalem kompromitującym całą ludzkość, dla drugich śmiesznym konserwatyzmem było bronienie tak straconej w ich pojęciu pozycji jaką były ówczesne dzieje Tosci i Cavaradossiego lub Janusza i Halki.

Kością niezgody było na przykład pojęcie treści opery. Pierwsi mówili: treść to muzyka, drudzy wołali: treść to fabuła literacka, a ponieważ ta jest bzdurna więc: écrasez l'infame!

Takich przyczyn długi i nieraz bardzo ostre sporów było wiele.

Nie mam zamiaru wchodzić się między walczących. Trzeci, który wchodzi między dwu bijących się częścię obrywa po głowie niż korzysty. Chcę jednak, na marginesie samego sporu, zastanowić się nad możliwościami jego złagodzenia. Opera, moim zdaniem, nie stoi wcale na pozycji straconej. Dałoby się ją jakoś wybronić w oczach przeciwników, gdyby najgorętsi jej zwolennicy, a więc w pierwszym rzędzie twórcy współczesnych spektakli operowych, zechcieli nie dolewać oliwy do ognia, gdyby zechcieli nie dawać oponentom pełnych garści argumentów świadczących przeciw operze.

Nie można także zapominać o literackiej stronie zagadnienia. Morcinek — wiedzony zapewne wspaniałą intuicją pisarską — wykazał najlepiej jego zamierzeniom służącą formę pamiętnika listowego. Luźna kompozycja, bezpośredniość opisu, intymność atmosfery, pozwoliły i na snucie własnych refleksyj i na zgodne z prawdą psychologiczną powiązanie wątków myślowych z obrazami wspomnień. Ale jednocześnie z zaletami wybór taki przyniósł swoje braki. Nie uniknął Morcinek zbędnych wielokrotnie powtórzeń, a w „Listach z mojego Rzymu”, boleśnie odczuwanej schematyzacji. Polega ona na monotonię jednakowym sposobie wiązania refleksji obozowych z wywołującymi je bodźcami zewnętrznymi. W ogóle — rzymskie listy są słabsze od „Listów spod morwy”. Razi w nich trochę pachnąca Baedeker'em szczegółowość opisów i obca całkowicie pierwszej książeczce retoryczność, banalna literackość porównań, metafor czy metonimii. Możliwe, że styl przewodników turystycznych, opisy Morcinka, przypominają jeszcze dlatego, że całkowicie niepotrzebnie zubożono książkę fotografiami i świetnymi zresztą rysunkami K. Badury. Możliwe, że zbędna chwilami ornamentyka „literackości” listów drugiego zbiorku, nabiera — prawem kontrastu — specjalnej wyrazistości na tle niezwyklej prostoty zbiorku poprzedniego. To nie zmienia faktu: literacko „Listy z mojego Rzymu” są znacznie słabsze od „Listów spod morwy”. A i „Listy spod morwy” mają swoje braki. Obok powtórzeń, niepokoją niedociągnięcia, chropowatości (jak w listach rzymskich — gładzisz), stylistyczne, których nie tłumaczy, nawet próba nadania całości — charakteru odrębnej, brulionowej korespondencji.

Oczywista, braków tych nie można przeciwstawić zaletom. Zalety każyły tu wspomnieć o brakach, aby tym wyraźniej wystąpić na planie ogólnym. A wyliczać te zalety — byłoby truizmem.

Truizmem także może się wydać powtórzenie, że jaka treść człowieka, taka treść jego sztuki. Głęboki, prawdziwy chrześcijanin da zawsze swoim dziełem głęboką, prawdziwie chrześcijańską treść. Że Morcinek dowiódł swoimi „Listami” tej prawdy, to jeszcze jedna jego zasługa.

Zygmunt Lichniak

chu, że mu te brawa teatr rozsądzą. Kurtyna majestatycznie unosi się do góry. Pan Stanisław Roy na oczach widzów wstaje z martwych, a zza kulis wychodzi nieszczęsna Tosca. Ukłony.

Oto próbka dowodząca jak błędnie podchodzi się miedjednokrotnie do sepielnicznego opracowania opery.

Rozwiązanie w akcie II nasuwa się proste: nie podnosić kurtyny. Publiczność poklaszcze, poklaszcze i przestanie.

Gorzej jest, po sportowemu powiedzmy, z finałem. Publiczność istotnie bądź co bądź głupia. Dwa trupy. Jak wybrnąć? Znowu prosto: odczekać, aż nieboszczyki wstają, otrzępią się z pyłu, poprawia garderobę, przyglądają włosy, zapalają na scenie wszystkie światła (żeby odciąć się od nastroju opery i od dekoracji) i... „góra!”

Wówczas przed widownią stanie nie Tosca i Cavaradossi ale p. Zawadzka i p. Roy.

Rozpisałem się o tej sprawie, ale wydaje mi się, że ona jest naprawdę dość listotna. Operę trzeba uteatralnić. Bez tego staje się ona naprawdę przeżytkiem. Pod nieszczególnym w brzmieniu słowen „uteatralnić” kryje się wiele obowiązków. Oto najważniejsze:

- śpiewacy operowi muszą liźnąć nieco gry aktorskiej.
- do scenicznego opracowywania oper należy powoływać mistrzów rzemiosła reżyserkiego — muzyk, choćby genialny, tego zagadnienia nie rozwiąże

\*) Gustaw Morcinek: Listy spod morwy (Sachsenhausen — Dachau), wyd. II, „Literatura polska”, Katowice 1946, str. 95;

Gustaw Morcinek: Listy z mojego Rzymu, księgarnia św. Jacka w Katowicach, 1947, str. 151.



c) chór winien być traktowany również jako zespół dobrze wycudzonych statystów teatralnych. Nie może być tak, aby jakaś pani w „Carmen” zagała się (excusez — moi le mot) w pałeczkę dyrygenta zamieniając się jak pani Lotowa w szup soli z tą tylko różnicą, że tamta na pewno nie wytupała sobie zgrabną móżką taktu.

Namiętny muzyk powie, że to wszystko nieważne. Owszem, ważne, bardzo ważne. Usunięcie tych błędów stworzy dyspozycję do słuchania śpiewu i muzyki. Inaczej skutek będzie taki sam, jak wówczas, kiedy w ostatnim akcie „Carmen” tuż przed chwilą, w której pan Arno miał dokonać mścwego morderstwa z lewej, licząc od widowni kulisy, wyłaził na scenę prześlizgnięty kotek: nieznamość praw

teatralnych śmieczy, rozprasza uwagę i, co gorzej, zniechęca.

Namiętny muzyk powie dalej: można, jeśli kogoś razi, nie patrzeć. Zamknąć oczy i słuchać. Nonsens. Nie poto się chodzi do opery. Opera prawdziwa to harmonia dwu elementów: muzyki i teatru. A zresztą z tym słuchaniem też nie jest taka prosta sprawa jakby się wydawało. Pod najpiękniejsze arie operowe popodkładane są przecież słowa. Wprawdzie niewiele ich można na ogół zrozumieć (wydaje się czasem, iż teksty są tylko dla wykonawców pisane), ale niektóre wpadną od czasu do czasu w uszy i wówczas, przepraszam za dosadność, włosy stają deba na głowie.

Czy słyszeliście co śpiewa chór odpoczywających po zmianie wartownicy w „Carmen”. Komunikują nam oni uprzejmie, ni mniej

ni więcej to, że właśnie oczekują „pięknych robotniczek”. Tak jest: robotniczek. Przecież to proste: pracownik — pracownica, lub pracowniczka, ergo: robotnik — robotnica — robotniczka. Robotniczka! I nikt nie powieśił tłumacza. I tak się właśnie śpiewa.

Mistrzowie od oper! Teksty trzeba skrupulatnie przejrzeć. Postarać się o nowe przekłady. Na polskich scenach obowiązuje poprawny język polski. Na to nie ma rady. Tych błędów muzyka nie zatuszuje, bo nie jest jej obowiązkiem pokrywanie czyjegóż niechlujstwa.

Treścią oper jest muzyka. Zgoda. Muszę się na to zgodzić skoro „Halke”, mimo iż fabuła literacka ogranicza się do opowiedzenia smutnych konsekwencji wywołanych faktem, że jakiś tam paniczek uwiódł jakąś dziewczę do ludu, słusznie nazywa się operą narodo-

wa. Decyduje muzyka, która naprawdę wyrasta z pierwiastka operowego. Rzecz jednak w tym, iż tej muzycznej treści należy dać odpowiednią oprawę. Bez tego ani rusz. Całość jest ważna. Wszystkie elementy. Wskazówka sekundnika zatrzyma się w twoim zegarku o przeszkodę w postaci drobnego pyłku. I co? Tracisz orientację w czasie. Zegarek stoi choć wskazówka ta nie jest przecież najważniejszą częścią ani dla funkcjonowania mechanizmu, ani dla tego byś wiedział, że już pora na obiad.

Operę trzeba unowocześnić. Muzyka zostanie oczywiście bez zmiany, ale wszystko to co łączy się z teatralnością opery musi dojść do tego stanu jaki obowiązuje w dramacie. Wydaje mi się, iż zrealizowanie tego postulatu zlikwidowałoby spory, w których słyszy się opinię: opera się przeżyła. Nie

przeżyła się. Usnęła w którymś tam wieku, na jakimś tam szczeblu wiedzy teatralnej. Trzeba ją obudzić i przypomniać: żyjemy w wieku dwudziestym.

\*\*

Nie znam się na tyle na muzyce, bym próbował omawiać tę stronę słyszanych oper. Według mego skromnego zdania na wysokości zadania stoi orkiestra i chór. Soliści — jak który. Biłem brawo przede wszystkim Stanisławowi Royowi za partię Stefana i Cavaradossiego. Podobał mi się Cezary Kowalski (Scarpia i Escamillo). Barbara Bittnerówna prima-primaballerina. Układ nazura w „Straszny Dwór” fatalny i wcale nie polski.

Obszerniej na te tematy innym razem.

Mieczysław Markowski

## TYDZIEŃ KULTURALNY

### Zgon Kazimierza Czachowskiego

**D**NIA 17 bm. zmarł w Krakowie jeden z najwybitniejszych polskich krytyków literackich. Kazimierz Czachowski, b. prezes Zarządu Gł. Zw. Zawod. Literatów.

Kazimierz Czachowski odbywał studia humanistyczne w Warszawie, w Czechach i w Szwajcarii. Pierwszą jego pracą krytyczno-literacką było studium biograficzne o Janie Kaspro-wiczu, ogłoszone w 1929 r. Wydał następnie prace: „Henryk Sienkiewicz

— obraz twórczości”, „Współczesna powieść polska”, „Juliusz Kadenda-Bandrowski”, „Współczesna literatura polska” (1863—1930), „Maria Rodziewiczówna”, „Obraz współczesnej literatury polskiej” (1884—1936) w 3 to-mach, „Najnowsza twórczość literacka” (1935—1937).

Już po wojnie ukazał się tom szkiców krytyczno-literackich pt.: „Pod piórem”.

Dr Andrzej Sołtan został prof. nadzwyczaj. atomistyki (U. W.).

Dr Kazimierz Kumaniński prof. zwyczajnym Filologii Klasycznej (U. W.).

Pełna lista mianowań na Uniwersytecie Warszawskim zawiera ponad dziesięć nazwisk.

Dekret objął oczywiście również uczelnie poza warszawskie. Na Uniwersytecie Jagiellońskim na przykład profesorem nadzwyczajnym historii literatury polskiej został dr Kazimierz Wyka, znany krytyk literacki i redaktor „Twórczości”.

#### DOROCZNY FESTIVAL W DUSZNIKACH

**W** dniach od 20 do 23 września b. r. odbędzie się trzeci już z rzędu doroczny Festival Chopinowski w Dusznikach-Zdroju, zorganizowany staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki przy współudziale Naczelnej Dyrekcji Uzdrawisk Polskich.

W tegorocznym festiwalu udział wezmą: śpiewaczka Aniela Szlemińska oraz laureaci Eliminacyjnego Konkursu Chopinowskiego: Regina Smendzianka i Zbigniew Szymonowicz.

W przeddzień festiwalu odbędzie się recital chopinowski znanego pianisty Władysława Kędry.

Zbiorowe wycieczki na festival zorganizuje Biuro Obsługi Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu.

#### KONFERENCJA MATEMATYKÓW

**W** Genewie odbyła się ostatnio Międzynarodowa Konferencja Matematyczna zorganizowana przez uczonych francuskich i szwajcarskich z udziałem przedstawicieli innych krajów. Polskę reprezentowali na tej konferencji prof. prof. Sierpiński i Kuratowski.

W drodze powrotnej do kraju matematycy polscy odbyli konferencję ze swymi kolegami czeskimi. Tematem obrad polsko-czeskich było nawiązanie ścisłej współpracy Państwowych Instytutów Matematycznych obu krajów.

#### KONGRES WROCŁAWSKI

**R**OZPOCZĄŁ swoje obrady Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu. Program obrad przedstawia się następująco:

Środa, 25 bm. — godz. 9 — 12.30 i 15 — 18 — obrady plenarne. Wie-

czorem odbędzie się raut dla uczestników Kongresu, wydany w salach Ratusza.

Czwartek, 26 bm., godz. 9 — 12.30 i 15 — 18 — obrady plenarne, zaś wieczorem koncert w kościele św. Doroty.

Piątek, 27 bm. — odbędzie się obrady poszczególnych komisji oraz zorganizowane zostaną tury wycieczkowe, m. in. na Wystawę Z. O.

Sobota, 28 bm., godz. 9 — 12.30 oraz po południu toczyć się będą obrady plenarne, na których po wysłuchaniu sprawozdań komisji podjęte zostaną końcowe uchwały Kongresu.

Przez dalsze dwa dni, tj. w niedzielę 29 bm. i poniedziałek 30 bm. członkowie Kongresu będą w Warszawie, zapoznają się z Wystawą

Odbudowy Stolicy oraz podejmowani będą przez przedstawicieli Rządu. Dnia 30 bm. poszczególne grupy członków Kongresu goszczono będą przez instytucje naukowe i społeczne, które pragną wykorzystać pobyt zagranicznych intelektualistów dla nawiązania bliższej współpracy. W niedzielę wieczorem członkowie Kongresu udadzą się do Żelazowej Woli na koncert chopinowski.

#### POWSTAJĄ NOWE INSTYTUTY NAUKOWE

**W** celu przeprowadzenia prac naukowo-badawczych niezbędnych dla rozwoju produkcji poszczególnych dziedzin przemysłu Ministerstwo Przemysłu i Handlu postanowiło powołać do życia Główne Instytuty: Elektrotechniczny,

Paliw Naturalnych, Chemii Przemysłowej, Włókienniczy, Mechaniczny, Metalurgii i Odlewnictwa oraz Lotnictwa.

Doświadczenie uzyskane z prac istniejących już w kraju Instytutów Naukowo-Badawczych przemysłów: węglowego, hutniczego i chemicznego wskazują na pełną celowość utworzenia nowych placówek, których istnienie wystarczająco usprawiedliwiają choćby tylko badania nad zwalczaniem chorób zawodowych.

#### LAUREACI LUBLINA

**W**OJEWÓDZKA Rada Narodowa w Lublinie przyznała nagrody na rok 1948:

NAUKOWĄ — ks. dr Ludwikowi Zaleskiemu, znanemu na terenie Lubelszczyzny działaczowi kulturalnemu i społecznemu, oraz

LITERACKĄ — dr Feliksowi Araszkiewiczowi za prace krytyczno-literackie.

#### Książka na tydzień

### RYCHLIŃSKI

Morze nie stanowi dotychczas, niestety tematu w literaturze polskiej. Jeszcze morze jako obraz, jako nastrój, jako tło pojawia się od czasów, gdy go odkryli — w wiele lat po Faleńskim — Nowaczyński i „Zeremiasz” — Żeromski. Ale morza jako żywiołu, którym się żyje i na którym „navigare necesse est, vivere non necesse” nie rozumie prawie nikt. Może jeden Stempowski. Może obok Stempowskiego, jeszcze Rychliński.

Po wojnie pojawiła się nowa powieść autora „Róży Korsarskiej” i „Przygód Krzysztofa Arciszewskiego” — „Czarna feluka”. Jest to powieść o ambicjach powieści historycznej, sięgająca w epokę ciekawą zmagania Napoleona z morską potęgą Anglii. To to historyczne nie jest jednak najcenniejszą stroną książki: autor nie czuje się dobrze w otoczeniu ludzi prawdziwych, obowiązanych do życia realnego. Utwory Rychlińskiego pełne są zawsze irrealizmu bajki, tajemniczości i barwności. Tajemniczy Titange czy wydobyta ze starożytności ballady Bice o wiele więcej pociągają pisarza, niż lord Millin, który wobec tamtych wydaje się człowiekiem z innego trochę świata. To nie są ludzie z krwi i kości — jakimi są inni ludzie morza, bohaterowie Conrada — którego tłumaczem był niejednokrotnie Rychliński. W rzeczywistości jednak nie tego szukamy w „Czarnej feluce”. W książce mamy dużo morza, barwnego, kolorowego, zwidziskowego, trochę takiego jak na „Nec margitur” Ruszczyca, lecz zato porwującego, pociągającego, fascynującego.

Tak, to jest wizja morza, wizja całkowicie własna, wizja przede wszystkim malarska. Irrealizm o-

brazów Rychlińskiego — trudny do przyjęcia, gdy pisarz mówi o człowieku, nabiera siły w obliczu żywiołu.

Eyłoby naturalnie nonsensem twierdzić, że tak tylko należy pisać o morzu. To, co spotykamy u młodych — u Papugi, czy u Pertka — ten spokój, z jakim oni traktują morską żywioł — odpowiada więcej charakterowi literatury współczesnej. U Rychlińskiego — podobnie jak to było — w innej skali i mierze — u Żeromskiego wizja morza

rodziła się z tęsknoty, podziwu i zachwytu, podobnie jak wizja Tatru Witkiewicza czy Tetmajera. Dla nas — na szczęście — morze staje się rzeczywistością, prostą i oczywistą.

W powieści swej Rychliński oddał hołd głębiom Koranu. Wznaga to egzotykę książki, nie przekonuje jednak czytelnika, któremu najbardziej poetyckie maksyminy nie wystarczają, by uznać piękno tej księgi mądrości świata mahometańskiego.

Jan Dobraczyński

### ZGŁOSZENIA NA KANDYDATÓW NA BRACI W STOW. APOSTOLSTWA KATOLICKIEGO

Chłopcy po skończeniu szkoły powszechnej i w wieku późniejszym, chcący się poświęcić na służbę Bożą w charakterze braci w Stowarzyszeniu Apostolstwa Katolickiego (Księży Pallotyni), mogą się zgłosić na adres:

### ZARZĄD POLSKIEJ PROWINCJI STOWARZYSZENIA APOSTOLSTWA KATOLICKIEGO

Bracia w Stowarzyszeniu Apostolstwa Katolickiego są Współpracownikami Księży w wykonywaniu ich apostolskiego zadania. Zadanie to spełniają bracia przez wykonywanie prac umysłowych i fizycznych zwłaszcza rzemieślniczych.

W celu przygotowania się do tego rodzaju prac kandydaci na braci przechodzą szkołę zawodową, w której stosownie do swych zdolności pobierają naukę drukarstwa, stolarstwa, ślusarstwa, ogrodnictwa, rolnictwa i tym podobnych fachów.

**Prawdziwym przyjacielem pisma jest tylko — stały prenumerator!**

#### TŁOCZNO NA WYŻSZYCH UCZELNIACH

**O**STATNI, trzynasty numer „Wiadomości Statystycznych” przynosi interesujący materiał cyfrowy charakteryzujący stan liczebny studiujących na wyższych uczelniach. Ciekawe będzie zwłaszcza porównanie niektórych z tych cyfr z danymi z przed dziesięciu laty. (Stary „Rocznik Statystyczny” z r. 1939). Ogółem na wyższych uczelniach studiowało:

w roku 47/48 — 79.480 słuchaczy (w tym 29.390 kobiet);

w roku 37/38 — 48.000 słuchaczy (w tym 13.600 kobiet).

Studiujących na poszczególnych wydziałach było:

	47/48	37/38
Teologię i prawo kanoniczne	755	1.000
Prawo i nauki polityczne	13.118	13.200
Medycynę	9.426	3.900
Farmaceutykę	2.977	1.200
Weterynarię	1.216	1.200
Dentystykę	2.650	500
Nauki humanistyczne	9.235	12.000
Rolnictwo	5.715	2.400
Nauki techniczne	22.234	7.600
Sztuki piękne	746	700
Nauki handlowe	10.151	4.300
Wychowanie fizyczne	800	200
Dziennikarstwo	467	300

Nie trudno się zorientować, gdzie skierowała się nadwyżka studentów w stosunku do roku 1937/38.

Prawo, weterynaria, sztuki piękne zachowały swój przedwojenny stan posiadania, straciły zwolenników wydziały humanistyczne, a zyskały... medyczne, techniczne i handlowe.

Jedną z najistotniejszych cech tego zagadnienia jest jednak to, że wzrosła liczba ogólna studiujących. To jest sukces niewątpliwy. Rzeczą wyższych uczelni jest pamiętać, że decyduje nie tylko ilość, ale i jakość.

#### NOMINACJE PROFESORSKIE

**S**KORO już jesteśmy przy wyższych uczelniach to warto dowiedzieć się iż dekretem Prezydenta RP. dokonane zostały ostatnio dość liczne mianowania na uniwersytetach i politechnikach. Między innymi:

Dr Stanisław Laskownicki został prof. nadzwyczaj. urologu (U. W.).



WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

14

# LOT JASKOLEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Ludzie faszyzmu — nie było w nich tej wielkości, którą Czelepiński przyznawał wielkim kapitanom przemysłu z początków ery liberalnej, tamci wkładali w życie wielki osobisty wysiłek. Tutaj, wspólnie, odbywało się wielkie przedstawienie czarnoksiężstwa, magia mówców, magia psychologii. Czarna magia emocji zbiorowej, przetrwanie argumentów, które nie dawały się brać pod mikroskop, które nie dawały się badać przez umysł racjonalistyczny. Odwoływanie się do haseł, do ideałów — i tak okazywało się, że ideały mogą zwyciężyć ideę. Niesłusznie, zapewne. I pod tym względem Makowski miał może rację, że życiem wcale nie kieruje rozum.

— Jedno więcej złudzenie filozofów — powiedział, gdy rozmawiali ostatnio u niego, w tym tak bardzo mieszczańskim, burżuazyjnym mieszkaniu. Gdy się tam wchodziło, od razu powstawał lęk, aby o coś nie zawadzić, nie potrącić. Ściany, zawieszane obrazami bez wyboru, czerniałymi, w ramach złotych, starannie oczyszczonych z kurzu. Dywany, kotary i meble, którym to jedno należało oddać: miały indywidualność. Meble nowoczesne mają piętno fabryczne, seryjne. Są robione na wyprzedaż, szukają nabywców. Dawniej nabywca wyciskał więcej ze swej indywidualności na meblach, które zamawiał. Były jakby bardziej solidne, nieprzenośne, stawiano je w pokojach na zawsze i dzięki temu może miały siłę, aby przetrwać pokolenie, któremu zaczęły służyć.

— W końcu nie mogę tego wszystkiego tak lekko wyrzucić. To po rodzicach — powiedział Makowski. — Sam wiesz, dzieciństwo, nie tak nie wyznacza człowieka jak jego dzieciństwo.

Czelepiński pokiwał głową i Makowski musiał odgadnąć tok jego myśli.

— No, naturalnie — uśmiechał się ze sztuczną arogancją — ja wiem, myślisz, że dlatego przestałem być socjalistą. Myślisz się, ja jestem socjalistą, nawet bardziej niż dawniej.

— Nie wierzysz w rewolucję.

— To nie jest istota socjalizmu. A zresztą czy ty wierzysz w rewolucję? I co to w ogóle znaczy, wierzysz. Jakże często wiara czy poczucie obowiązku uwalnia nas od działania, od praktyki, od swej treści.

— Nie mam zaufania do takich ogólników w stylu maksym filozoficznych.

— Do diabła, mocno powiedziane. Socjalizm to dążenie do reform, które poprawiają byt klasy robotniczej. Skoro można było to zrobić w systemie Plazy —

— Też złudzenie. Może przez likwidację samorządu w ubezpieczeniach społecznych? A dziś, w systemie Składkowskiego nie zrobić nie można w tym kierunku.

— Kto wie. Ty się zacietrzewiasz, ja tego nie lubię. Zresztą, mój drogi, mnie nie chodzi o jeszcze jedną, o jedną więcej rozmowę prywatną.

— Jak mam to rozumieć?

Podano kawę i babkę, pokrajaną na małe kawałki.

— Pozwolisz? — zapytał Makowski. Zaraz ci wyjaśnię.

Czelepiński znał go oddawna — w 1926 roku razem kończyli prawo. Wtedy śmiechał się Tadeusza w Makowskim tylko jego imię — Damian, nie mógł się z tym brzmieniem oswoić. Koledzy szkolni przynieśli na uniwersytet uczniowskie przezwisko Damiana. Pawian, był nadal Pawianem, nawet w partii go tak nazywali niektórzy, sądząc, że jest to rodzaj pseudonimu. Towarzysz Pawian zaciskał pięści, groził mordobiciem, z upodobaniem używał wtedy słów brutalnych — był raczej pulchny, obawiał, skłonność do otyłości. I to było jego wewnętrzną tragedią: przede wszystkim, chciał być groźny. Jak dalece groźny może być średniego wzrostu grubas o oczach dobrotliwych, o długiej tradycji rodu warszawskich piekarzy? Piekarnia Makowskich doszła do tego punktu rozwoju, gdzie można by ją było przekształcić na towarzystwo akcyjne. Damian, będąc na uniwersytecie, mimo swego socjalizmu, namawiał ojca, aby został prezesem rady

nadzorczej w warszawskich zakładach wypieku chleba, sp. akc. Obmyślił adres dla depesz i ułożył nagłówek na przyszłe blankiety firmowe. Damian Makowski ojciec odniósł się do tych projektów niechętnie, widział w nich zamaskowany socjalizm. Był całe życie sympatykiem narodowej demokracji, płacił nawet jakieś grube składki. Nie rozumiał co prawda, jaki pożytek mógłby odnieść socjalizm z przekształcenia jego piekarni w spółkę akcyjną, w przedsiębiorstwo wyższego rzędu gospodarczego, z siecią filii na mieście, z odpowiednimi blankietami firmowymi.

— Filie posiadamy i tak — na Targówku, na Woli, na Mokotowie — wyliczył synowi na palcach. Traktował go pobłażliwie, uważał młodego Damiana za półgłówka, opętanego przez ludzi nieuczciwych. Córki były rozsądniejsze. Zupełnie dobrze powychodziły za mąż, za identystę z Krakowa i za właściciela huty szklanej na Pradze. Nie interesowały się piekarnią. Gdy Damian — ojciec umarł, młody Damian przede wszystkim przestał płacić składki endekom. Po tym, w porozumieniu z siostrami, które nareszcie wykazały zainteresowanie dla spraw majątkowych, sprzedał piekarnię. Pracował już wtedy od paru miesięcy w biurze planowania w ministerstwie skarbu. Miał tam nawet świetną pozycję. Liczono się z nim, a porwoczy dyrektor biura twierdził, że Makowski nie jest wcale tak głupi, na jakiego wygląda. Stanowili kontrast: Makowski był spokojny, równy i pedantyczny. Sam minister wysoce go cenil. Było ogólnie znane, że Makowski uważa się za socjalistę, nikomu to nie wadziło, przeciwnie stanowiło rodzaj snobizmu wskazujący na niego jako na człowieka, który nie rzadzi się uprzedzeniami, lecz interesem państwowym.

— Ty sądzisz, że rewolucję robią masy i trybunowie ludu. Ja jestem zdania, że dzieło sprawiedliwości społecznej bardziej służy wolontariusze, wolni strzelcy — jeśli tak wolno się wyrazić.

— Czy twój minister dał się namówić do popierania socjalizmu? Skoro tak, to jest to fakt niebezpieczny.

— Nie żartuj, to są rzeczy poważne. — Wzruszył ramionami. Jego poczucie osobistej wagi było urażone. Przywykł w biurze do pewnych manifestacji dostojności. Przestało się być człowiekiem prywatnym, to był czysty przypadek, że nosił spodnie, że byli ludzie, którzy mieli prawo mówić mu po imieniu. Już zgola nie pamiętał, że w szkole (i później w partii, niemal do czasu wystąpienia) nazywano go Pawianem.

— Zachodzi potrzeba — powiedział cicho, głosem podobnym do szelestu — abyśmy się porozumieli. Kraj potrzebuje szerokiego zjednoczenia — zamachał ręką z lekceważeniem — nie w tym stylu jak myślał Kosiński, nie mechanicznie. Musimy się porozumieć jak ludzie i minister upoważnił mnie —

— Ja nie jestem upoważniony do niczego — przerwał Tadeusz.

— Ale możesz powtórzyć... Sam widzisz, jak bardzo przydatni mogą być wolontariusze.

Kończąc artykuł wstępny (pisał go prawie mechanicznie, z wewnętrzną niechęcią, zadając sobie przymus), Tadeusz pomyślał, że jednak o tej rozmowie należy zawiadomić ludzi z zarządu partii. I także, że on, Tadeusz, na gwałt potrzebuje urlopu, choćby tygodnia wyjazdu, odpoczynku, wsi, czegośkolwiek, co byłoby inne. Ciszy. Ten terkot maszyn drukarskich z dołu, przez całą dobę, telefony, to było nieznośne, dokuczliwie fizycznie.

— Zresztą — nawrócił wtedy Makowski — czy wystarczy wierzyć w rewolucję? Jeśli nawet, trzeba mieć jej plan, plan działania. Ja nie chcę — zastrzegł się okrągłym gestem swoich pulchnych dłoni — wnosić jakichś zadrażeń, ale ostatecznie wy nie macie żadnego planu, podobnie jak socjal-demokracja niemiecka przed wojną. Ebert, Scheidemann, Noske — to była improwizacja, nieudana zresztą. Wy? Od 1918 roku jesteście w defenzywie, nie umiecie bronić te-

go, co wtedy osiągnęliście. Nie macie nawet biurokracji partyjnej, pojmujesz, organizacji. To zresztą biała kwestia. Nie powinienesz mi robić zarzutów — służę sprawie jak umiem.

— Sprawie? Ani odrobiny sobie?

Makowski skrzywił się.

— Nie chodzę do powieści, bo nie znoszę ekshibicjonizmu. Dlatego nie wierzę ani we Freuda, ani w katolicyzm. Pewnie, trochę i sobie. Nie można siebie unicestwić w imię abstrakcji, choćby była właśnie sprawą. Czelepiński pokiwał głową.

— Abstrakcja? Należy siebie unicestwić, choć zgadzam się, że to jest trudne. Ale nie ma się wtedy siły bezwzględnej, zupełnej w działaniu, jeżeli przywiązuje się uwagę do siebie.

— To dobre dla terrorystów, ale nie dla was. Wy jesteście też ruchem mieszczańskim i nawet konserwatywnym, konserwatywnym w stosunku do programu partyjnego. Chcie libyście zachować jego fasadę z roku 1890, nie nie zmienić, co u nas (powiedział tak, jakby się pomylił, jakby zapomniał) było najbardziej żywe społecznie, musiało iść do pilsudczyków. Tak — dodał z melancholią — część do komunistów.

Noc się ciągnęła wolno, dziś wolniej niż kiedy indziej. Był rozproszony wewnętrznie, nie miał w sobie odczucia tych wściekłych uderzeń energii, które zwykle nim miały po redakcji, które wodziły mu pióro. Redaktor działu depesz nachylił się nad jego biurkiem, próbował gawędzić, w końcu odszedł zniechęcony.

— Nic nowego — powiedział na odchodnym — Czechy, nowy anchluss, teraz Kłaj peda. Można będzie iść na dziewczynki, co? — Zagwizdał fałszywie jakąś melodię, stał jeszcze chwilę, odszedł.

Tadeusz po prostu fizycznie nie znosił męskich rozmów o miłości, o kobietach. Miały woń wydzielin, woń potu, nastroj czkawki; nastroj samców, których ogarnia podniecenie: wiedzą jak łatwo je zaspokoić. Lekceważą kobiety, miłość, szczęście, siebie. Śmieją się do rozpuku, gdyby usłyszeli skrupuły, nawet, gdyby usłyszeli słowo szczęście. Nie przychodzi im na myśl, że można być szczęśliwym, że jest stan namiętności, że jest stan człowieka, stan przechodzący w euforię. Jak trudno o szczęście. Nie miał nigdy czasu na kobiety, zajęty dźwiganiem siebie, zarobkami, wykształceniem, ekonomicznie, partią. Monika, Monika. Wydawało się, wiedział już dokładnie, że złudzenie. Nie może być szczęścia mechanicznego, według planu. Miała pasję wprowadzania ładu w życie, chciałaby je zaspokoić regulaminem, nieledwie przepisami domowymi. Nie, nie z histerii, ani cienia materiału na historyczkę, wolałaby, aby była historyczka. Pedanteria, metoda — wszystko razem po prostu okrutne.

Telefon.

— A to ty, Damianie?

—

— Tak, właśnie wychodzę. Dobrze, będę za kwadrans. — Spojrzył na zegar na ścianie: — Nie, za dwadzieścia minut, powiedzmy. Tymczasem. Co? — Dobrze.

Wyszedł z pośpiechem. Była już głęboka noc, padał lekki odświeżający deszczyk, gdy dochodził do placu Napoleona, deszcz już ustał. Na krótkich, jeszcze nie rozwiniętych, liściach kasztanów w świetle lamp ulicznych była fosforescencja wody. Jak rosa. Nie przyszło mu do głowy jechać, na ulicę Widok było parę kroków. W szatni ogarnęła go mgła pary. Znali go tutaj.

— Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

Poprawił włosy przed lustrem. Spojrzył w swoją twarz: miała martwy wyraz, trochę jak na fotografii. Szeroko zarysowane usta.

Makowski nie był sam. Nie wiedział kto to jest, ta młoda kobieta, ale nasunęło mu się przypuszczenie, że ktoś z teatru; po efektacji, po nieskazitelnej dykcji. Mówiła jakby wykonywała rolę. Bardzo dokładnie, właśnie: nieskazitelnie. Twarz młodzieńczej wiejskiej dziewczyny spod Sieradza, włosy blond, niedbale zaczesane. Ale oczy, policz-

ki, wargi — to wszystko było już zrobione, z jakimś tandetnym luksusem. Pod patyną karminu na wargach — drobne małe zęby, olśniewająco białe. Twarz, w której naiwność szła o lepsze z nachmurzeniem niedowierzania, nieufności, zwątpienia. Naiwność, która dla siebie nie oczekiwała niczego dobrego, jakby miała już jakieś doświadczenia i wiedziała teraz, że może służyć na kształt maski, ale że w istocie potrzebniejsza jest chytryść. Niedużo chytryści. Tyle, ile starczy na codzienne sprawy domowe, na zagadnienia polityczne z ludźmi, to znaczy z mężczyzną mi.

Powiedziała pierwsza, gdy się do nich zbliżała.

— Więc to pan.

— Wyobraź sobie — zaczął na cały głos hałasować Damian — zacząłem Marysi opowiadać o tobie. Zażądała, abym, ciebie sprowadził, że lubi mężczyzn, w których jest coś opozycyjnego. I musiałem ciebie po nocy niepokoić.

— Sam pan będzie wiedział, na ile można Damianowi wierzyć — powiedziała przez pół obojętnie. Od sąsiednich stolików zaczęto się im przyglądać — odwróciła głowę w stronę sąsiadów, obwiodła ich spojrzeniem i Tadeuszowi wydawało się, że wbrew możliwym oczekiwaniom dokonała cudu. Przestała na nich zwracać uwagę.

— Więc da nam pan nową starcę — zaordynował kelnerowi jakby po namyśle Damian — I coś tam do tego, dla mnie mogą być pieczarki. Tak, tak — powiedział — siedzimy tu z pół godziny, rozumiesz, po teatrze, rozmawiamy o tym i owym. Filozofujemy —

— Przecież ty nie znosisz filozofii.

— Tak, ale z młodymi kobietami filozofia ma swój urok. Zwłaszcza z Marysią... Nie czytała ani Marksa ani Hume'a i nie będzie cię zapewniać, że lubi książki. Lubi morze, bodajże i mężczyzn — Opowiadam monologuję? Ktoś z Francuzów powiedział, że mężczyzna to ktoś, kto monologuje. Zawsze.

— W twoich ustach nie jest to ani tragiczne, ani romantyczne — wtrąciła.

— Nie mam takich pretensji — burknął. — Chcę mieć w życiu swoją porcję radości.

Odróciła głowę i patrzyła gdzieś w bok, po za nich obu. Tadeusz był teraz niezadowolony, że dał się zwabić. Od sąsiednich stolików szedł gwar, który w restauracjach wybucha często po północy. Gwar, w którym ktoś nowy nie różniła niczego, prócz bełkotu. Ale w którym jest wszystko: maniactwo nocy, rozczarowanie, niewiara w siebie, jaką się pragnie ukryć, nadrobić. Poczul na sobie jej wzrok, przyglądała mu się krytycznie. Złapał oczami jej spojrzenie: spuściła powieki.

— Nie rozumiem, poco siebie tak zatrząwać myśleniem.

Nie wiedział: czy stosowała do niego te słowa w formie wyrzutu za chwilę zamyślenia, czy miała na uwadze Damiana. „Za mało pijemy” wtrącił Makowski. Tadeusz przechylił kieliszek i Damian zaraz go napełnił na nowo. Zachęcał ich oboje gestami, milcząc. Miał pełne usta, nie mógł nawet mówić. Orkiestra zagrała tango, i Tadeusz zerwał się z krzesła.

— Zatańczy pani?

Miała zdaje się ochotę odmówić, ale w końcu podniosła się z miejsca. Światła przygasły. Członkowie orkiestry albo byli Rosjanami, albo udawali Rosjan — baryton śpiewał przez megafon po polsku, ale z obcym akcentem. Ten śpiew nie był niczym nadzwyczajnym, jednak stwarzał pewną sugestię, sugestię, zwracającą myśl ku miłości, ku kobiecie. Jeżeli było prawdą, że Marysia domagała się od Damiana, aby go sprowadził, to w każdym razie już nasycała swą ciekawość. Tadeusz nie był z typu mężczyzny, który ją interesował. Rozumiał to zresztą, choć nie mógł się uwolnić od poczucia pewnego bólu. Może rodzaj zawodu. Nie ma miłości czystej, oderwanej, zawsze są zmysły — rozmyślał w odrobine teoretyczny sposób i ten ból był cierpieniem ambicji podrażnionych zmysłów. Nie obchodziła go zupełnie Drażliwa go tym, że była tak blisko, tak dotykalna, tak wyczuwalna, w swej cienkiej sukni, ściśle przylegającej do ciała niemal widzialna. Łędkowie, piersi — to wszystko co obejmował ramieniem, łącznie z zapachem silnych perfum.



# ARGENTYNA

## Stary duch na nowym lądzie

Druga wojna światowa, jak również rozwój wypadków powojennych podkreśliły z całą wyrazistością proces utraty przez Europę dominującej roli w rozległym teatrze światowych wydarzeń politycznych i gospodarczych. Nie przestał jednak oddziaływać stary ład w sposób pośredni na inne kontynenty, w drodze asymilowania przez nie wzorów ustrojowych czy też koncepcji w dziedzinie społecznej lub światopoglądowej, zrodzonych na gruncie europejskim.

Szczególnie jasno stwierdzić można to zjawisko, gdy przypatrujemy się tendencjom rozwojowym Argentyny. Nie ulega kwestii, że państwo to uważane być musi za pewnego rodzaju curiosum, a to ze względu na silne skojarzenie się pierwiastka amerykańskiego z europejskim, przy czym ten ostatni zaczyna wywierać piętno zasadnicze na charakterze kraju.

Pierwszym czynnikiem, który należy brać pod uwagę przy opisywaniu Argentyny, będzie ogrom przyrody, nie wyzyskanych dotychczas w pełni bogactw; współistnienie „pierwotności” z dużymi osiągnięciami w dziedzinie techniki. Wszystko to wytwarza atmosferę perspektyw rozwoju materialnego i możliwości wzbogacenia się. Na tym gruncie rozszerza się z dużą dynamiką zasięg działania prądów, pochodzenia europejskiego.

Proces ten jest związany z objęciem rządów Argentyny przez generała Perona.

Juan Domingo Peron, prezydent, a równocześnie dyktator Argentyny, doszedł do władzy dzięki poparciu warstw robotniczych, a ściślej mówiąc „descamisados” (tj. nie noszących koszuli), którym przyobiecał zażarcą walkę z wielkimi kupcami bydła i bogatymi przemysłowcami, władającymi faktycznie krajem w ciągu wielu pokoleń. Warstwy robotnicze oswobodziły bowiem Perona w 1946 r. z więzienia, w którym przebywał po swych wystąpieniach na arenie politycznej w 1945 r. Ich głosem zawdzięcza również otrzymanie w tym samym roku prezydentury. W rezultacie obecny dyktator objął władzę w sposób jak najbardziej demokratyczny i zgodnie z konstytucją.

Koncepcja polityczna Perona oparta jest w przeważnej mierze na europejskich wzorach. Peron gra na uczuciach mas, dąży do nawiązania możliwie bliskiego kontaktu z szerokimi warstwami społeczeństwa, głosi program zmierzający do poprawy ich bytu materialnego — jednym słowem wybiera rolę orędownika i obrońcy ich interesu.

Równocześnie dąży do rozwinięcia uczuć patriotycznych i nacjonalistycznych, przy czym podkreśla swą misję oswobodziciela kraju, nawiązując do historii Argentyny, do generała San Martín, który w XIX wieku wyzwolił Argentyne spod panowania hiszpańskiego. „Oswobodzenie” w ujęciu Perona oznacza konieczność wyzwolenia ekonomicznego tj. uniezależnienia się od wpływów zagranicznych.

Program polityczny rządu ujęty został w tzw. planie pięcioletnim na okres 1947—1951, który został ogłoszony przez prezydenta jesienią 1946 roku. O tym, że wytyczne planu równoznaczne są z szeroko pojętym programem reform gospodarczych świadczą choćby fakt, że ich realizacja wymagała wprowadzenia w życie 27 nowych ustaw.

Podstawowym założeniem tego planu jest uprzemysłowienie kraju. Szczególny nacisk położony został na rozbudowę instalacji hydro-elektrycznych, umożliwiających redukcję zużycia węgla, surowca, który Argentyna

musi importować. Według planu produkcja energii elektrycznej winna wzrosnąć w okresie pięcioletnim z 45.000 kw. rocznie do 1.400.000 kw.

Dążenie do uprzemysłowienia kraju postuluje zasadniczą zmianę w tradycyjnym typie gospodarki argentyńskiej. Programem rządowych robót publicznych objęte są oprócz inwestycji przemysłowych, również inwestycje w dziedzinie transportowej i komunikacyjnej, integralnie się wiążące z rozwojem produkcji przemysłowej.

Wychodząc ze słusznego założenia, że jednym z powodów zacofania ekonomicznego kraju jest jego niedostateczne zaludnienie (8 mieszkańców na 1 km kw.) autorzy planu kładą duży nacisk na imigrację, która pokryłaby zapotrzebowanie sił roboczych, związaną z akcją inwestycyjną, oraz która pozwoliłaby na zwiększenie produkcji rolnej w rozległych obszarach kraju. Dotychczas prawie nie eksploatowanych.

Realizacja zamierzeń ekonomicznych planu, która ma zapewne pełne zatrudnienie, sprawliwą redystrybucję dochodu społecznego i stabilizację cen, odbywa się przy daleko posuniętym interwencjonizmie państwa. Państwo posiada wyłączny monopol skupu i dystrybucji podstawowych artykułów, którymi są nafta i zboże; nacjonalizowane zostały banki i największe przedsiębiorstwa. Wiodącą jest też tendencja do zmonopolizowania handlu zagranicznego. Utworzony instytut do popierania handlu zagranicznego przeprowadza większość transakcji zagranicznych, a w szczególności rolę jego jest decydująca w eksporcie. Równocześnie specjalnym dekretem przyznane zostało Bankowi Centralnemu wyłączne pra-

wo przeprowadzania płatności z tytułu transakcji zagranicznych.

Ingerencja państwa ma miejsce również w dziedzinie wychowawczej. Pomimo znacznej opozycji zniesiony został samorząd szkół wyższych. Nowa ustawa o nauczaniu oddaje w ręce prezydenta prawo nominacji rektorów szkół wyższych.

Jednakże za wyjątkiem dziedziny naukowej Peron zaprowadził właściwie bez większej opozycji centralizację władzy politycznej, oraz kontrolę państwa w dziedzinie gospodarczej i w dziedzinie pracy.

Niepełna byłaby charakterystyka głównych zasad polityki Perona, gdyby się nie wspomniało o wpływach niemieckich na kształtowanie się jego aspiracji oraz programu reform. I tak rola Heinricha Doerge, byłego ucznia Schachta i doradcy finansowego Hitlera, zaważyła zasadniczo w sferach posunięć w dziedzinie polityki finansowej. Dalszymi osobistościami pochodzenia niemieckiego są już naturalizowani Picardo Stand i Ludwik Freud, doradcy Perona do spraw politycznych i ekonomicznych. Według danych opublikowanych w amerykańskim piśmie „The New Republic” około 100.000 Niemców o nastawieniu nazistowskim znajduje się dzisiaj w Argentynie, a 60.000 spośród nich należało swego czasu do partii hitlerowskiej. To samo źródło podaje, że Argentyna nie wydała nawet wszystkich szpiegów niemieckich, których ekstradycji zażądali alianti. W kwietniu ubiegłego roku w brytyjskiej Izbie Gmin padła uwaga, że rząd argentyński ograniczył się do upaństwowienia jedynie 60 firm niemieckich na 393 istniejących, oraz, że kapitały niemieckie w Argentynie wynoszą jeszcze około 400 milionów dolarów.

Wszystko to dowodzi bezwzględnie

o dużych proniemieckich sympatiach sfer rządzących dzisiaj Argentyną.

Wpływom niemieckim przypisać też przede wszystkim należy dążenie do wzmocnienia obronności kraju, oraz dalekosiężne plany co do roli Argentyny w Ameryce Południowej.

Peron przeprowadził ustawę, która zastrzega tajność kredytów na cele wojskowe, jak też i ich przeznaczenie. Plan pięcioletni przewiduje budowę około 7 tys. km dróg komunikacyjnych, oraz rozbudowę ołbrzymiego lotniska, które ma być jednym z największych na świecie. Lokalizacja rozbudowującego się przemysłu uwzględniać ma również momenty strategiczne. Wprowadzone zostało przymusowe przeszkolenie wojskowe. Chłopcy powyżej 12 roku życia wchodzi w skład tzw. „rezerwy” lotniczej i przechodzą przeszkolenie pilotażu i spadochroniarstwa. Zasady obrony przeciwlotniczej wprowadzone zostały jako obowiązkowy przedmiot nauczania we wszystkich szkołach.

Rozbudowa gospodarcza i militarystyka kraju mają być środkiem w realizacji ambitnych planów Perona w stosunku do innych państw Ameryki Południowej. Równoległe bowiem do zwiększającej się siły wojskowej państwa, wzrasta jego prestiż ułatwiający infiltrację ekonomiczną innych państw Ameryki Południowej. Ostatnie lata stoją pod znakiem znacznego ożywienia się stosunków handlowych Argentyny z tymi krajami, a w szczególności z Chile i Boliwią, którym przyznane zostały również kredyty.

Nie trudno jest domyśleć się, że Stany Zjednoczone ustosunkowują się nieprzychylnie do obecnych tendencji rozwojowych Argentyny. Nie po myśli Stanów Zjednoczonych jest fakt, że Peron interpretuje rozszerzającą swą

koncepcję „niezawisłości” ekonomicznej. Bez wątpienia w intencjach swych postuluje rozciągnięcie zasięgu jej działania na całą Amerykę Południową.

Dla obiektywnego obserwatora argentyńska rzeczywistość jest zjawiskiem z jednej strony negatywnym, a to ze względu na istniejącą tam dyktaturę, ze względu na rozwój militarystyki, oraz tendencje imperialistyczne i last but not least — wskutek powiązań z nazizmem. Z drugiej jednak strony trudno nie docenić dążenia do wyemancypowania się spod wpływow kapitału zagranicznego, który zabierając znaczną część wypracowanego dochodu społecznego stanowił hamulec w materialnym rozwoju szerokiej warstw ludności kraju.

W każdym jednak wypadku godny uwagi jest fakt, że Argentyna jest bodajże jedynym państwem w orbitcie wpływów Stanów Zjednoczonych, które dąży usilnie do uzyskania pełnej samodzielności działania.

(k)

## Nadesłano

### SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”

Loftnig Hugh — OPERA DOKTORA DOLITTLE — powieść dla młodzieży, przekład J. Morzkowiczowej, ilustr. autora, okł. T. Roszkowskiej, str. 244.

Bolesław Prus — NAWRÓCONY (bibli. świetlicowa KCZZ Nr 5). Sztuka w 3 odsłonach. Udratyzował Wł. Smolński, Wstęp T. Wałęńskiego, str. 50.

Roman Werfel — CO SIĘ STAŁO W CZECHOSŁOWACJI. (Z zagadnień międzynarodowych), str. 64.

Bernard Zablocki — CZYNNIK DYFUZYJNY I JEGO ZNACZENIE W MEDYCYNIE, str. 60.

A. J. Cronin — GWIAZDY PATERZA NA NAS. T. I, str. 282. T. II, str. 295. W-wa, 1948 r.

Dr H. Wereszyński — HISTORIA POLSKI 1864 — 1918. W-wa, 1948, str. 374.

Irving Stone — POEZJA ŻYCIA. Powieść na tle życia Van Gogha. Str. 494.

A. Dorabalski — Maria Skłodowska-Curie i Piotr Curie, BIBLIOPULARNO - NAUKOWA „WIEDZY”. Str. 143.

Janina Przeworska — SERCA POD ZGRZEBNYM PŁÓTNEM, 2 rysunkami J. Rosen. Str. 156.

Henryk Murger — SCENY Z ŻYCIA CYGANERII, tłum. Boy-Zeleński, ilustr. A. Uniechowskiego, proj. okład. i układ graficzny J. Gliński, str. 400.

Wolter — TAK TOCZYŁ SIĘ ŚWIATEK... — pierwiastek filozof. T. II, tłum. Boy-Zeleński, ilustr. A. Uniechowski, ukł. J. Gliński, str. 254.

### KSIĘGARNIA

#### STEFAN KAMIŃSKI — KRAKÓW

Dr Jan Gwiadomorski — POLSKIE PRAWO MAŁŻEŃSKIE, 1948, str. 61.

Adam Tuszyński — PRZEPISY O RUCHU POJAZDÓW MECHANICZNYCH, wyd. IV. Bibl. samochodowa, Nr 1, 1948 r., str. 57.

Zdzisław Jachimcecki — MUZYKA POLSKA W ROZWOJU HISTORYCZNYM — OD CZASÓW NAJDAWNIEJSZYCH DO DOBY OBECNEJ, t. I. Od Bogurodzicy do Chopina włącznie, cz. I, 1948, str. 227.

Stanisław Kowalczyk — STOSUNEK INSPEKTORA SZKOLNEGO DO NAUCZYCIELA W CZASIE WIZYTACJI SZKOŁY, 1948, str. 15.

Zofia Rogoszcówna — DZIECI PANA MAJSTRA, ilustr. J. Juriewicz, 1948, str. 176, wyd. V.

Jerzy Stefan Langrod — INSTYTUCJA PRAWA ADMINISTRACYJNEGO. Zarys części ogólnej, t. I, 1948, str. 238.

A. Bar — KUMOSZKI NA PARNASIE, strona graficzna J. Bandur, str. 442.

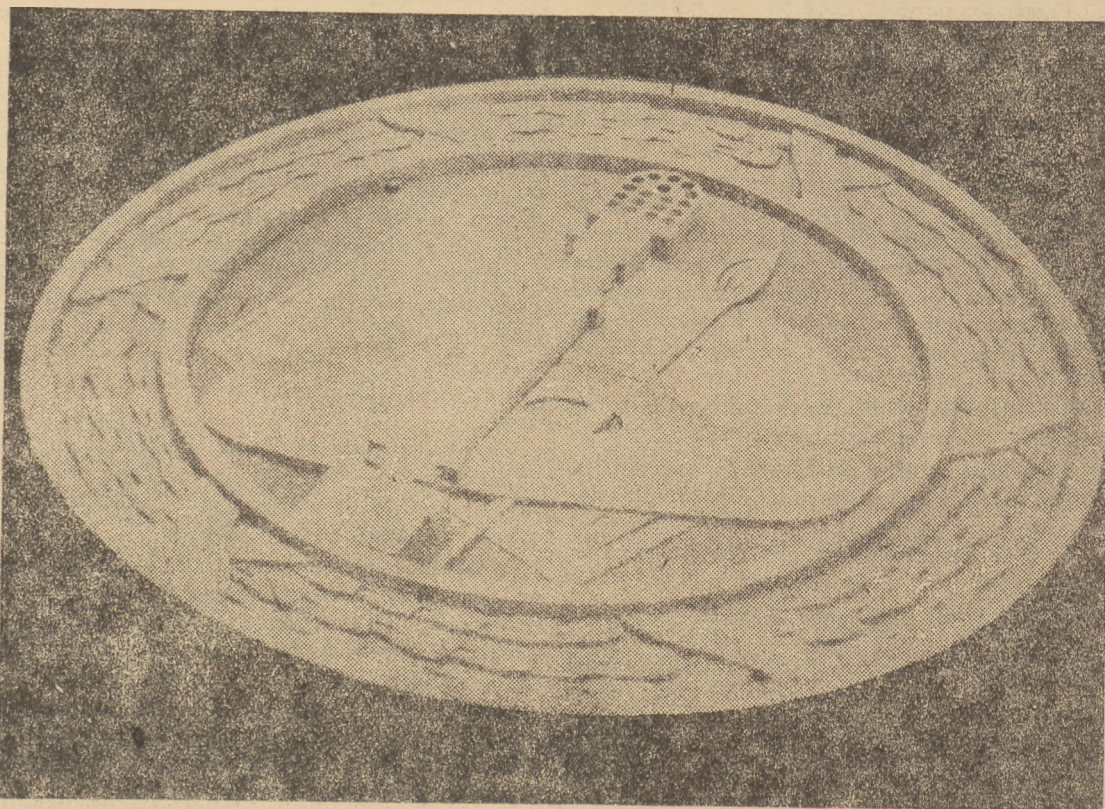
### JEDNOŚĆ — KIELCE

Jerzy Zawieyski — MAŻ DOSKONAŁY — dramat, okł. Zygmunt Kinastowski, wstęp dr St. Jerschina, str. 83.

## WNĘTRZE I WYSTAWA

SP. z O. O.

PLAC GRZYBOWSKI 2. • WARSZAWA



Dekoracja jednego ze słupów Hali Ludowej na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W wieńcu liści laurowych mikrofon, paleta malarzka i książka. Całość obrazuje KULTURĘ DLA MAS. Emblemat wykonany z lekkiej konstrukcji drewnianej obitej dyktą ma średnicę 8 metrów. Cała dekoracja Hali Ludowej projektu inż. arch. Jana Polinińskiego, została wykonana w czasie 9-ciu dni przez firmę „WNĘTRZE I WYSTAWA”

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 380-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.00

Druk Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-55668